ROK IV. STYCZEŃ TOM I (XXXI).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA





CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

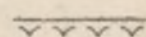
Skład w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1904

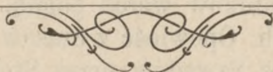
Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 января 1904 года.



Treść tomu I, styczniowego 1904 r., ogólnego zbioru XXXI.



ILLUSTRACYE:





NOWY ROK.

Opiece Boga Najwyższego i orędownictwu Maryi z Nowym Rokiem się oddawajmy!

Czwarty już rok „Dzwonek Częstochowski“ rozbrzmiewa wszędy, gdzie jeno polską słychać mowę, starając się budzić *dobrą wolę* w sercach ku wszystkiemu, co się podoba Wszechmocnemu Bogu, co miłem jest dla Niego, co łaskę Jego i orędownictwo Najsłodszej Matki Zbawiciela wyjednać może. Więc szczególnie stara się rozwijać i umacniać *wiarę*, gdyż ona fundamentem życia jest, ona jedynie, w połączeniu z uczynkami zbożnemi, doprowadzić może człowieka do celu jego: do zbawienia duszy. Obok tego stara się rozbudzać *nadzieję* w możność osiągnięcia nagrody wiekuistej po trudach i mozołach życia doczesnego, gdyż nadzieja staje się pobudką do wytrwałości w dobrem, do walki z pokusami złemi, do mężnego opierania się zwątpieniu i ułudom, które usiłują ludzi z drogi prawej na manowce pociągnąć. Stara się wreszcie wzniecać w sercach najszczytniejsze z uczuć: *miłość* Boga i bliźnich, gdyż w tem uczuciu streszcza się *Słowo Boże*, jedyna *Prawda*, to jest— streszcza się nauka Zbawiciela świata, Pana naszego, Jezusa Chrystusa. A te zabiegi swoje „Dzwonek Częstochowski“ prowadzi pod sztandarem Najsłodszej Bogarodzicy, gdyż w Tej Pani Najświętszej, Przemożnej, Najdobrotliwszej, każdy trud zbożny pewną a potężną znachodzi orędowniczkę i pośredniczkę.

Taką „Dzwonek Częstochowski“ prowadzi orkę, taka jest treść jego zabiegów. Śmiało je nazywa apostolskiemi, bo przyjął je w puściźnie po Apostołach, onych siewcach Dobrej Nowiny. Odważył się w ślady Mężów Bożych wstępować, a do tej odwagi upoważnił go głos obo-

wiązku, który od lat dwóch niemal tysięcy rozbrzmiewa z Betlehem, Nazaretu i żałobnej Golgoty. Odwaga zaś, w bogomyślności poczęta i z żarliwością serdeczną powzięta, snać została uznana przez Najdobrotliwszego Ojca, gdyż możem się poszczycić plonem obfitym, z każdym rokiem bogatszym: wzrostem grona Przyjaciół naszych. Zaznaczamy to z radością, lecz bez grzesznej przechwałki, a zaznaczamy jako świadectwo, iż Bóg Najwyższy i Najświętsza Matka Zbawiciela, zawsze wspierają dobrą wolę, o której śpiewali Aniołowie w noc Narodzenia Pańskiego.

Skoro zatem dobra wola taką jest dla ludzi potęgą, przeto rok czwarty zabiegów naszych rozpoczynamy życzeniem, aby Przyjaciele nasi przedewszystkiem dążyli do zaopatrzenia w nią serc swoich. Osiągną ten skarb niewątpliwie, jeśli zawsze i wszędzie, we wszelkich życia przygodach, czy to radosnych, czy bolesnych, opiece Boga Najwyższego i orędownictwu Maryi oddawać się będą; jeżeli będą pamiętali o Ich chwale, o czci dla Nich, czci nieustannej, szczerej, głębokiej, prawdziwie synowskiej. Taka jest nasza kolenda dla Przyjaciół, a mniemamy, że przyjmą ją wdzięcznie, gdyż płynie z serca ich dobru oddanemu. Uzupełnimy ją szeregiem uwag równie serdecznych, wypowiadanych przez świętobliwych kapłanów naszych, ku pożytkowi duchowemu wiernych.

Zwrócimy się naprzód do najdawniejszych polskich mowców kościelnych. Oto, jak jeden z nich nauczał w dzień Nowego Roku, dając przestrogi dla wszystkich stanów:

„Jest zwyczaj, że sobie ludzie Nowy Rok posyłają, to jest — życzenia sobie w dniu Nowego Roku i podarki składają. Jeśli tak się dzieje w życiu świeckiem, to ja zwyczaj ten do duchownego przystosuję. Więc daję na kolendę królom lwa, bo opowiadają o lwie, że gdy widzi przed sobą zwierzę u nóg swoich, to, mimo swej okrutnej natury, łaskawym się staje, pouczając tem królów, by dla swoich poddanych byli miłosierni; czyta się też o lwie, że gdy na niego polują, on zaciera ślady swoje, ucząc królów, aby byli roztropni i umieli każdemu sprawiedliwość czynić.

Powtóre — posyłam duchownym pelikana, który z własnego serca karmi młode, bo tak powinni duchowni, gdy potrzeba, życie łożyć, za owieczki swoje.

Po trzecie — daję panom ziemskim i szlachcie kwokę, gdyż ta tuli młode pod skrzydła swoje przeciw jastrzębiom i sama się za nie naraża. Tak powinni też panowie strzedz sługi swoje i drobne im winy przepuszczać. Niech będą oraz, jak kwoka, opiekunami wdów, sierot i wszystkich maluczkich.

Po czwarte — posyłam rajcom i mieszczanom żórawia, bo ptak ten w locie zawsze kupy się trzyma. Niechże tak i mieszczanie czynią, by im się źle nie wiodło.

Po piąte — posyłam małżonkom parę gołębi. Niech się tak wzajem miłują i poważają.

Po szóste — posyłam wdowom synogarlicę, co to zawsze na suchej gałęzi przesiadywa i po zgonie towarzysza, innego już nie szuka. Tak powinny czynić wdowy.

Siódme — pannom posyłam pszczółkę, która kwiaty podobając, na nich siadywa, a tym sposobem daję pannom do zrozumienia, by w kwiecie, to jest w Chrystusie i cnotach, się lubowały.

Ósme — posyłam rzemieślnikom dzięcioła, który gniazdo budując, nie dba o krasę, ale o trwałość. Niech tak wyroby rzemieślników naszych trwałe będą. Lecz nowocześni rzemieślnicy są podobni jaskółkom, których gniazda nader piękne, a nietrwałe. Tak i wyroby nowoczesne.

Dziewiąte — posyłam zakonnikom strusia, który trawi rzeczy miękkie, żelazo i puszczę lubi. Niech tak zakonnicy trwają bogomyślnie w nieszczęściu i szczęściu, a żywot samotny prowadzą.

Dziesiąte — posyłam starcom łabędzia, który w godzinę śmierci słodko śpiewa. Niech każdy starzec życie swoje tak rozrządzi, by mógł w chwilę zgonu słodką pieśń Panu śpiewać: „Panie! w ręce Twoje polecam duszę moją“.

Jedenaste — posyłam młodzieńcom mrówkę, która w lecie, co potrzeba, zbiera, by w zimie pokój miała. Niech i młodzieńcy czasu swego nie marnują.

Dwunaste — posyłam kupcom miarę, w którą Żydzi mannę na puszczy zbierali, a żaden nie odważył się wziąć więcej nad słuszną potrzebę. Tak powinni kupcy dawać towar uczciwy i słusznym zyskiem się zadawalać.

Trzynaste — posyłam bogaczom ptaszka piankę, który wykarmia młode innych ptasząt. Kukułka, gdy znajdzie jajka pianki, wypija je i podsuwa własne, a pianka wywodzi obce, jak własne A przez to rozumiem, że mają być bogacze miłosierni dla ubogich.

Czternaste — daję wszystkim na Nowy Rok, co sam miłuję: Chrystusa, Syna Maryi. Niech On raczy nas łaską Swoją odnowić, dając odpuszczenie grzechów, a w przyszłości żywot wieczny w niebie“

Tak brzmi jedno z najdawniejszych noworocznych kazań polskich, a chociaż dalekie jest od mistrzowstwa sztuki krasomówczej, jednak zawiera prawdy głębokie, zawiera naukę, która po dziś dzień wartości zbawczej nie straciła i nigdy nie straci.

Z kolei przytoczymy ustępy z jednego z noworocznych kazań księdza Skargi, w ktorym znów łączy się natchnienie Boże z niedoścignionionem mistrzowstwem słowa. Złotousty ten kaznodzieja naprzód objaśnia, na czem polega doniosłość dla ludzi wcielenia się Boga-Zbawiciela. Mówi:

„Niezmierna łaska nikomu nie spowinowaconego Boga światu się zjawiła. Syn Boży, Słowo Ojca, Bóg prawy z nieba zstąpił i nam się stał w ciele podobnym człowiekiem, i z nami w towarzystwie (na ziemi) przemieszkał. Przedwieczny, bez początku od Ojca rodzony, dziś ósmy dzień, (jak) z Matki się bez Ojca urodził. Niewidomy w Bóstwie, stał się widomym w ciele i niecierpiętliwy (niedostępny dla cierpień) stał się cierpiącym, aby ludzie, przez wcielenie się Jego, na syny Boże odrodzeni, nauką Jego oświeceni, żywotem Jego ubogaceni, przykładem Jego do cnót świętych pobudzeni, śmiercią Jego oświeceni, Jego zmartwychwstaniem naprawieni i ubłogosławieni, do raju się wrócili, dziedzictwo i ojczyznę Królestwa nieodmiennego i rozkoszy niebieskich bez końca otrzymać mogli. Toć jest twoja Ewangelia i Dobra Nowina, kolenda i Nowe Lato twoje, narodzie Adamów, która cię tylo (tylko) sama w płaczu twojem utulić, w przyrodzonem twojem przeklęctwie i nędzy świata tego ucieszyć i uweselić może.“

Kaznodzieja szeroko następnie rozważa żywot Zbawiciela, wreszcie zastanawia się jaką to pamiątkę Kościół nasz święty w dniu Nowego Roku obchodzi. Jakąż naukę brać mamy z obrzędu onego? Ksiądz Skarga odpowiada na to:

„Naprzód, iż Pan się Zakonu Starego i ustaw jego nie chroni. Wszakże ponieważ on Zakon był niedoskonały i do wypełniania uciążliwy, Jezus go zmienia, daje nowy, wiekuisty, łaskę mający w swoich Sakramentach. Wszystkim nadto Jezus, stosując się do Zakonu, dał przykład, aby będąc grzesznymi, lekarstwa na grzechy od Boga danego szukali i używali. Jeśli zaś On, rany dusznej (grzechu) nie mając, plastry i maści bierze, jakże my, ran i wrzodów pełni, takiej pomocy szukać nie mamy?

Przeto oczyszczajmy serca nasze z myśli plugawych, gniewliwych, zazdrościwych, nieżyczliwych; uszy z próżności słuchania słów zaraźliwych, obmawiających, gorszących; oczy z pożądliwości grzesznych; ręce od krzywdy czynienia, od cudzego brania i zatrzymania; nogi od popędliwości i biegania do złego; język od matactwa, wielomówstwa i próżnych słów. Tak oczyszczeni, oktawę wiecznej i ostatniej godziny Bogu w niepomazanem (nieskalanem) sumieniu święcić będziemy. Sześć dni bowiem roboty i pracy naszej w Zakonie Chrystusowym. Siódmego, jeśli robim, odpoczywać będziem bez ciał na duszy po śmierci. Na ósmy on i oktawę dnia ostatniego sądu Bożego, i ciało weźmiem,

i w niem przed Stolicą Sprawiedliwą staniem. Na który to czas, żebyśmy doskonale oczyszczeni, od grzechów wszelkich wolni, jako oblubienica niepokalana, w onym Kościele Jego, stawić się między owcami Chrystusowemi, od kozłów i lewicy (to jest — od grzeszników) mogli: pracujmy, dokąd nam tych dni sześci (sześciu) staje, a czas on nie przyjdzie, gdy rzecze leniwy: — Robić nie mogę, żebrać mi srom!— póki rąk i nóg nie zwiążą; póki noc śmierci, w której na robotę czasu niemasz, nie zajdzie.

Dajmy sobie szczęśliwie ten rok. Widzisz, iż jeden minął a drugi idzie, czas bieży, a jako woda w bystrej rzece ucieka, a nazad się nie wraca. Do śmierci, jako bieg koński do kresu, dni się nasze przemykają, a jako kamień z góry na dół do niej lecim, a nigdziej się nie oprzem. Porachuj się, coś przez ten przeszły rok, na twem duchownem, które cię samo od głodu wiecznego wybawić i ubogacić może, kupiectwie utracił albo zyskał, a czemeś się na przyszłe przygody opatrzył. Nazad się obróć, a przed się wejrzyj. Wiem, iż za sobą grzechy masz, a przed sobą śmierć straszliwą, i przygody do niej rozmaite i nagłe stoją. Sąd srogi, liczba trudna, gorące piekło, ciasna do nieba uliczka, wieki na obie strony bez końca. Jeśliś młody — z tyłu się śmierci zdradliwej obawiaj. Jeśliś stary — otóż już w oczy lezie, a siwizna i mdlejące członki, jako pozew u drzwi twoich zawieszony, woła na cię, abyś się do sądu gotował. Jeśli chcesz ono siódmego dnia święto i oną zaś oktawę w weselu i odpocznieniu święcić, odcinaj zbytki, i kochania, i grzechy twoje, a prawą rychło zaczynaj pokutę; odcinaj zbytnią majętność, która próżno leży, a miłosierdziem dla ubogich okupuj grzechy swoje; odcinaj przystęp i pogodę do grzechu, i wszystko, co cię do niego przywodzi. Lepiej tobie bez oka, ręki, nogi, to jest bez świeckiej i cielesnej w grzechu pociechy, i bez takiego, który cię gorszy, przyjaciela, do nieba wnijść, — niżli z tem wszystkiem do piekła się dostać. Bierz na się posłuszeństwo ustaw Bożych, i przykazania Bożego, i wypełnienie Zakonu Jego. A jeśli cię spotyka co ciężkiego, oto masz Tego, któremu daje się dziś imię Jezus — to jest słodki twój Zbawiciel, pewna pomoc twoja, gdy pokutę zaczniesz, a jarzmo Zakonu Jego i dobrych uczynków na się weźmiesz. W tem słodkiem imieniu, w tych przykładach żywota Jezusowego, wszystkać gorzkość pokuty i pracy odejdzie, łaska Jego, wylana na cię z męki i krwi Jego, jako wóz gotowy poniesie. Będzie tobie Jezus w pracowaniu pomocą, w utrudzeniu posileniem, w ustawaniu pokrzepieniem, w rozpaczy nadzieją, w zachwianiu podporą, w pośliznieniu podjęciem, w smutku pocieszeniem, na wojnie zamkiem, w pogoni ucieczką, w nocy strażą, w drodze błędnej wodzem, w potopie portem, we wszystkich przypadkach obroną,

a na koniec przy śmierci pociechą i przy ostatniej godzinie wieczną zapłatą.“

Nietylko w kościołach, z kazalnic, rozbrzmiewają przy Nowym Roku nauki, przestrogi i życzenia, snują je także pisarze świeccy, a często zdobywają się na utwory mistrzowskie, pełne uczucia, godne najszerszego rozpowszechnienia. Zapoznamy czytelnika z niektóremi. Oto naprzykład „Wiersz kolendny do Jego Królewskiej Mości Zygmunta III“, napisany czterysta lat temu przez kanonika Stanisława Grochowskiego:

„Królu przesławny dwiema koronami, sławny dobrocią, sławny i cnotami, dziś czas, w którym się stał podobny człeku Bóg wszego wieku.

Dzień święty przypadł dziś z biegu rocznego, w którym ujrzał świat w ciele Boga swego, stąd wszystek, pełen zbawienne nadzieje, w duchu się śmieje (to jest — raduje).

Gość wielkiej władzy i rozkazowania dziś między nami pragnie pomieszkania; świetny majestat twój niech wszystkich ludzi do Niego zbudzi.

Na cóż Go kładzie w tym żłobie Rodzica? Nie żłób to, królu, raczej kazalnica, z tej Pan pomaga niepospolitemu Skardze twojemu.

Przyodziej, prawi, Zygmuncie nagiego, nakarm łaknących, pociesz płaczącego, niech nikt nie płacze, ja za wszystkich płaczę niech też nie tracę.

Pomóż, gdzie możesz powstać upadłemu, nakłoń koniecznie ucha skrzywdzonemu, ostatek czytaj, co setny psalm mówi, tobie królowi.

Tyś pasterz, tyś pasł owieczki zmorzone; tyś ojciec — ty masz cieszyć zasmucone; tyś król, pohamuj krzywdy, niechaj cnota wytchnie z kłopota.“

Z pisarzy nowoczesnych, najserdeczniej w dniu Nowego Roku przemawiali: Józef Ignacy Kraszewski i Wincenty Pol Pierwszy nawołuje do wiary w zwycięstwo prawdy, którą Bóg zawsze wymierza; nawołuje do wytrwania, wśród cierni i zawodów życia:

„Rok Nowy! Witajmy Rok Nowy! Choć włos nam siwizna przypruszy.

My w górę, i serca i dusze, podnośmy i oczy, i głowy, a z Bogiem witajmy Rok Nowy!“

Wincenty Pol Nowe Lato wita rzewną, wspaniałą modlitwą:

„Boże ojców, Wielki Panie, bądź pochwalon na zaranie! I z południa, i z wieczoru, wielka chwała Twego Dworu!

Miłościwe dałeś Lato, i znów wolno oczy zrosić. Jak dziękować Tobie za to? Jak dziękować? o co prosić?

Wszak przyrzekłeś już Staremu w Ziemi Świętej Zakonowi:—„Rok Miłości świat każdemu i przywróci, i odnowi“...

W dzień Nowego Roku otwierają się wezbrane uczucia serc, płyną w życzeniach wzajem składanych nadzieje poprawy losu. Myśl jednak każdego wtedy zwraca się przedewszystkiem do Boga, do Przenajsłodszej Matki Zbawiciela — boć tam port dla ludzi najpewniejszy, tam puklerz najtrwalszy, tam i umocnienie, i pociecha, i balsam na wszelkie grozy doczesnego żywota. Przeto i my, składając Czytelnikom wiązanek noworoczny, powtarzamy raz jeszcze:

— Opiece Boga Najwyższego i orędownictwu Maryi z Nowym Rokiem się oddawajmy!





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Gdy Zacharyasz pokutę niemoty wypełnił i oglądał pociechę domu Swego, chwaląc w sercu Pana Boga i moc Jego, i usty Go też chwalić począł. W proroctwie swojem zapomina Zacharyasz pociech domu swego doczesnych: iż mu Pan Bóg dał syna, iż mu przywrócił mowę, iż oddalił od niego sromotę niepłodności, — ale do onych wielkich, świętych myśl obraca i na dzięki za nie usta otwarza. My też nie pomnijmy na to, co na świecie nas, złego czy dobrego, spotyka, a w tem się raczej ukochajmy, co się w Zacharyaszowem proroctwie zamyka: iż nam Pan Bóg dał takie przez Syna Swego Jedynego i krew Jego odkupienie, do któregośmy przyszli przez Chrzest Ś-ty i wiarę katolicką; iż nas wziął w obronę Swoją, dając nam niezwyciężoną tarczę Swoją; iż nas wydrzeć z ręku Jego, byleśmy sami chcieli, żadna pokusa i moc szatańska nie

może; iż nas postawił w Domu Dawidowym, to jest w Kościele Swoim, w którym jedynie dochować się to może i ku pożytku nam służy, co tylko z odkupienia Jego płynie; iż nam po śmierci ziemię oną obiecaną, rozkoszą miodu i mleka płynącą poprzysiągł, do której się kwapiąc, cieniem tu tylko a ciałem mieszkamy, a myśli duszy w górę podniesione i tam wszystko nasze obcowanie mamy; iż nas wyjąwszy z ciężkiej niewoli szatana i grzechów, darował synowską wolnością i pozwolił nam, abyśmy Go Ojcem nazywali.

Za wolność ową winniśmy mu służbę, przez uczynki sprawiedliwe i pobożne. Żeby to zrozumieć, wiedzmy, iż przy każdej wolności musi być niewola, a przy każdem dobrodziejstwie musi być jaka za nie służba i powinność. Bo Sam tylko Pan Bóg tak wolny jest, iż żadnej niewoli i służby nie winien; bo Sam przez Siebie jest, i nie ma nic od nikogo, i wyższego nad Sobą nie zna. Stworzenie każde, mając dobrodziejstwo i wolność, musi też przytem mieć niewolę i służbę. A jest jedna wolność Boską, druga czartowską, trzecia rzeczypospolitej świeckiej. Wolność Boska jest — od grzechu, śmierci, skazy, czarta, piekła i zguby wiecznej na duszy i ciele — wolnym być. Niewola Boska jest — nie módz grzeszyć, ani dobra nabytego utracić, a to albo doskonale, jako Aniołowie i Święci, którzy grzeszyć, ani dobra swego utracić nie mogą; albo niedoskonale, jak my, w ciele będący, którzy acz grzeszyć i dobro nasze utracić możem, jednak tę świętą niewolę (rozkaz) na sobie niesiem, abyśmy nie grzeszyli. Co uczynić, za pomocą Boską, możem, to jest, ustrzedz się przynajmniej od zmazy śmiertelnej.

A służba Boska jest ta, aby się w nas i przez nas działa wola Boga naszego, jako w niebie, tak na ziemi; jako Aniołowie czynią wolę Boską w posługach, śpiewaniu, chwale i czci czynieniu, i w pokłonie: tak i my, tu, na ziemi, dlategośmy wolnością synowską darowani, abyśmy chodzili w sprawiedliwości i dobrych uczynkach, które nam Chrystus w Zakonie Swoim nakazał. Wolność czartowska jest wszystko czynić, co świat, ciało i żądze nasze grzeszne każą, na żadne się prawo Boskie i ludzkie i na rozum przyrodzony nie oglądając. Niewola czartowska zaś jest — nie módz nic dobrego czynić, ani z grzechu powstać, a Bogu się Stworzycielowi nigdy nie kłaniać ani korzyć. Służba czartowska jest — wszystkie grzechy i występki przeciwko Bogu i bliźniemu popełniać.

Bójmy się dyabelskiej wolności, a tej, którą mamy, na grzechy i bluźnienia Bogu, i na swobodę wiar sobie, jakich kto chce, stawiania, nie rozciągajmy. Bo to jest dyabelska wolność. To zaś jest zacna wolność, w której grzechu, i rozpustności, i potępienia wiecznego, i gniewu Bożego uchodzą, i onych nie dopuszczają. To prawa niewola, gdzie wolno grzesznie ginąć i dyabłu się w moc podawać.

Wreszcie posłanictwo Jana Ś-go uczy nas, iż Kościół dwoje narodzin tylko, Janowe i Chrystusowe, święci, dając znać, iż Chrystus się nam i łaska Jego w sercach naszych bez Jana nie rodzi, to jest bez posłańców i kaznodziejów Bożych, prawych następców Apostołów, którzy nas mocą z nieba czerpaną do łaski Chrystusowej, do zbawienia dusznego przygotowują.

Rozejrzyjmy się w działałności Jana.

Nadszedł rok 27 od przyjścia na świat Jezusa. Rok ten był szabatowym, rokiem wypoczynku, zaniechania prac wszelkich, tedy i zajęcia rolnicze były w zawieszeniu, nie siano ani orano, pola leżały odłogiem. Nietylko człowiek, ale nawet bydlęta odpoczywały. Zboża wschodziły same, bez uprawy, a plon należał do ubogich, dla których rok szabatowy był rokiem wolności, dostatku i uciechy. Bożnice w dni świąteczne i w godzinach modlitwy szczelniej, niż w innych latach się zapełniały, po drogach jerozolimskich liczniejsze snuły się karawany, dokoła doktorów tłumniejsze gromady słuchaczów się cisnęły. Lud żydowski, wolny od prac ciężkich, a rozmiłowany, jak zresztą wszystkie ludy wschodnie, w nieskończenie długich rozprawach i w spędzaniu czasu pod gołem niebem, żywo się zajmował sprawami chwili bieżącej, religijnemi i politycznemi, które z dniem każdym większej nabierały wagi, większego znaczenia. Tego oto roku szabatowego Jan wystąpił wobec ludu jako prorok, jak posłanik Boży. Lecz nie ukazywał się na placach publicznych, ani przy bramach miejskich; nie widziano go na wązkich a krętych uliczkach, ani w krużgankach świątyni. Apostołem jest, lecz samotnictwa się nie wyrzekł, wciąż trzyma się puszczy, pozostaje w niej, gdyż tak mu każe Duch, którego głosem sam siebie mianuje.

Kto nie widział — czytamy u Ojca Didona — krainy w której Jan Chrzciciel powstał, jako prorok, temu trudno będzie wytłumaczyć sobie szorstkość jego słowa, obrazowość jego nauk i proroctw, jego głos potężny, przypominający ryk lwa. Kraina ta ciągnie się od brzegów morza Martwego aż do pogranicza Samaryi, na jakie dziesięć mil wzdłuż, a średnio biorąc, na sześć wiorst przeszło wszerz. Ze szczytu wzgórza Khan-el-Ahmar podobna jest ta kraina, w dzikiej wspaniałości swojej, jakby do morza stężałego, którego fale, zaklęte cudowną jakąś siłą, nagle skamieniały. Powierzchnia usiana jest mnóstwem wzgórz, pooddzielanych jedno od drugiego odpowiedniego obszaru dolinami. Tu i owdzie spotyka się głębszy jakiś *wadi* (parów), który kiedyś służył za łożysko potokowi, spływającemu z gór Judzkich. W stronie zachodniej panuje góra Oliwna; w stronie wschodniej dolina Jordanu zapada się, niby przepaść, pomiędzy stoki gór Judzkich a strome urwiska Moabu. Nie spo-

strzeżesz ani jednego drzewa w obrębie tej żarem słonecznym spalonej pustyni; gdzieniegdzie widnieje jakaś trawka, przyczepiona do martwej opoki, której pokłady kredowe świadczą, iż ongi w tej miejscowości odbywały się wulkaniczne przewroty. Również oko daremnie szuka dokoła śladu wioski jakiej. Dopiero hen, na zachód, majaczeje Abudis, a w stronie północnej Tayzbeh. W dole wężem się skręca długa, biała wstęga, wspinając się na górę Oliwną. To droga z Jerycha do Jerozolimy, po której od niepamiętnych czasów snują się karawany. Jan nieraz musiał kroczyć po niej. Cisza dokoła tajemnicza. Człowiek uczuwa się tu dziwnie samotnym, jakby na wskroś przenikniętym owym krajobrazem tak surowym, milczącym, martwym, więc sprzyjającym skupieniu ducha i rozważaniom religijnym...

Blaski słoneczne barwią jaskrawo stoki wzgórz tej puszczy, gdzie światło najwspanialej się rozlewa. Najsubtelniejsze odcienia zlewają się z sobą w onej jasności majestatycznej, która na wschodzie spowija niezmierzone przestworza nieba i ziemi, nadając krajobrazom wyrazistość przedziwną i głębokość jakby nieskończoną

Te miejscowości są, jakby umyślnie dla pewnych ludzi i zdarzeń pewnych stworzone. Opisana wyżej kraina była stworzona dla Jana. Poważny, milczący, tajemniczy jej pozór licował z duchem tego proroka. Jan przebiegał tę krainę wzdłuż i wszerz: od północy do południa, z zachodu na wschód. Przenosił się, kierunkiem dróg istniejących, od Engddi i brzegów morza Martwego,—aż do Tayzbeh; od pieczary w Ain-Kerim,—do Jordanu. Każdego, kogo tylko spotkał, samotnego pątnika czy karawanę tłumną, upominał grzmiącym głosem swoim. Nie udawał się do rzesz, zwyczajem dawnych proroków, lecz rzesze ciągnęły do niego. Ktokolwiek go usłyszał, odchodził silnie poruszony, wracał do wsi swojej, czy też do miasta swego, głęboko przeniknięty upomnieniem pustelnika, dzielił się z innymi doznanem wzruszeniem. W ten sposób szerzyła się sława Jana, a zaciekawiał do tego stopnia, że każdy pragnął go widzieć i słowo jego usłyszeć. Rychło też wszędy — w Judei, Samaryi, Galilei, nawet w krainach za Jordanem, nie mówiono o nikim innym, jeno o Janie Chrzcicielu.

Jan zdawał sobie jasno sprawę ze swego zadania. Czuł w sobie pewność niewzruszoną, z Bożego natchnienia płynącą, iż jest posłańcem Boga, a bezpośrednim Chrystusa poprzednikiem. Każde jego słowo o tej pewności niezbicie przekonywa. Przepotężne, przecudowne dzieło, które Bóg od tylu wieków zapowiedział, w które wtajemniczał z pokolenia na pokolenie proroków, o którem z takiem upragnieniem marzył naród żydowski, błagając zarazem głosem wielkim o jego spełnienie; dzieło to — „wnętrzności miłosierdzia Bożego, zbawienie świata, oświecenie pogan, chwała i tryumf prawych synów Abrahama,“ miało się nareszcie

dokonać. Widział to Jan, wiedział o tem, ogłaszał wiadomość o tem. A nie dowiedział się o tem z ksiąg, nie pouczyła go o tem szkoła uczona, ani spostrzeżenia i badania stosunków ówczesnych ludu żydowskiego. Pustelnik ów ksiąg nie czytał, nie zagłębiał się w badania naukowe, do ludzi nie chadzał. Ale „Słowo Boże było na nim, natchnienie Boże oświecało go.“ Każdym umysłem wielkim, genialnym rządzi natchnienie Boże; dopuszcza ono ten umysł do tajemnic Stwórcy w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od widoków Boga. A jeśli promienie światłości Bożej duszę wybraną przenikną, to nie zostają w niej uwięzione, lecz wytryskują na zewnątrz, rozpływają się na wszystkie strony. Bo Bóg na to daje wybrańcom światłość Swoją, żeby ją szerzyli po świecie, żeby się krzewiła, odpowiednio do potrzeb i wymagań czasu.

Jan miał przedewszystkiem głosić zbliżanie się Królestwa Bożego. To było najgłówniejszem jego zadaniem. Wieść ta miała wówczas siłę potężną; żadna inna nie mogła tak silnie i głęboko wzruszyć ludu żydowskiego, tak przykuć jego uwagę, wstrząsnąć jego duszą. W chwili najwyższego rozgorączkowania, do którego to stanu Żydów przywiodła zwodniczość upragnionych nadziei i gorycz jarzma, coraz srożej ich przygnębiającego, — w tej oto chwili rozlegał się głos nowego proroka, zwiastującego, iż czas obietnic Pańskich się wypełnia, iż następuje zmiana stanowcza w losach Izraela, iż kończy się dręczące oczekiwanie, natomiast upragniona rzeczywistość nastaje.

Faryzeusze czasów ostatnich, już zniechęceni, na duchu upadający, z coraz większą tęsknotą poglądali w przyszłość, a widząc, iż nadzieje ich się nie spełniają, starali się wytłumaczyć powód tej zwłoki. Więcej zapalna część ludu żydowskiego przemyśliwała o zrzuceniu jarzma pogańskiego, za pomocą zbrojnego powstania. Ci zagorzali mówili do narodu:

— Skruszyć przemoc obrzydłych pogan musim. Nie znijdzie do nas Mesyasz, nie zaznamy Królestwa Bożego, dopóki będziemy pozostawali w upadlającem jarzmie.

Jana nie dotykało ani zwątpienie faryzeuszów, ani rozpacz zagorzalców. Wołał on, z pewnością niewzruszoną, głosem surmy anielskiej:

— Pan idzie, blizko już jest. Przychodzi, aby objąć królowanie nad ludem Swoim, przychodzi, jako sędzia. Wiejadło Jego jest w ręku Jego, oczyści bojowisko Swoje, przewieje pszenicę Swoją, oddzieli ziarno od plew, ziarno zgromadzi w gumnie, a plewy spali ogniem nieugaszonym.

Temi słowy, zrozumiałemi dla każdego, przemawiał Jan. W ten sposób zwiastował Mesyasza, odtwarzał Boską Jego potęgę, malował

wizerunek Jego barwami jasnej pociechy i grozy przerażającej. Pociechę uczuwali ci, którzy stanowili zdrowe ziarno; przerażenie zaś ogarniało plewy, to jest dusze czcze i próżne.

Niekiedy proroctwa Jana brzmiały łagodniej, — mówił wówczas o łaskawości i miłosierdziu niewyczerpanem Mesyasza:

— On jest — tak nadmieniał wówczas — zbawienie Boże, wszelkie ciało ogląda Go.

— Gdzie On? — zapytywały rzesze tęskne i rozpaczne. — Wskaż Go nam?

— Pośrodku was stanął, a wy Go nie znacie — brzmiała odpowiedź.—Za mną idzie, a stał się przede mną i pierwej był, niż ja. Któregom ja nie godzien, żebym rozwiązał rzemyk u trzewika Jego.

Lud słuchał ze zdumieniem wezwań proroka. Poruszony do głębi serc siłą jego słowa, pewnością, z jaką wygłaszał przepowiednie, zawrzał, a echa tego wrzenia falowały wśród obszarow tajemniczej pustyni. Puste zwykle drogi zaroiły się od tłumów różnorodnych, które ze wszystkich stron dążyły do proroka, chciwe widoku jego i słów.

Nie jest rzeczą trudną wprowadzić ludzi w podziw, w zdumienie, zwrócić ich uwagę na siebie, podniecić ich ciekawość, roznamiętnić religijnie lub politycznie. Tego dokonać może każdy, kto posiada wolę silną, kto umie przemawiać zręcznie, wybrawszy odpowiednią po temu chwilę. Ale całkiem inne, ale nieskończenie wyższe są cele i pragnienia posłanika Bożego. On musi do głębi dusz sięgnąć, wolę porwać, przerazić i pociągnąć sumienia. Takiego dzieła człowiek, bez pomocy Boga, bez natchnienia Bożego, dokonać nie jest zdolny. Bóg, On jedynie obdarza proroków Swoich świętością i umiłowaniem wszystkiego, co dobre, zacne; On również daje im głos, w którym rozbrzmiewa tchnienie Jego Ducha, a głos taki posiada moc przemieniania serc, odwracania ich od złego, zwracania ku cnocie.

W całej postaci Jana odbijała się promienna świętość, poznawało się w nim od spojrzenia męża Bożego. Już tryb życia, na podziw surowy, otaczał go urokiem nieziemskim. Znalazł drogę do sumień ludzkich bez trudności; żaden z proroków, poprzedników jego, z takim tryumfem ich nie kruszył

Po za ogłaszaniem zbliżania się Królestwa Bożego, Jan miał zadanie „prostować ścieżki Pańskie“, to jest—nauczać ludzi umiejętności otrzymania zbawienia. Inaczej mówiąc: — Jan miał zalecone przez Boga przygotować Królestwo Mesyańskie. Dwa do pozyskania umiejętności otrzymania zbawienia wskazywał warunki: cnotę, osiąganą drogą pokuty i obrządek, to jest chrzest, w połączeniu z wyznaniem grzechów. Upominał przeto faryzeuszów i tych zapaleńców, którzy z bronią w ręku przeciwko jarzmu pogańskiemu wystąpić chcieli:

— Zaniechajcie urojeń marnych. Nie przez ślepe trzymanie się Zakonu, nie przez bezduszne obrzędy uczynicie się godnymi Królestwa Bożego. Również nie przyśpieszycie przyjścia Mesyasza za pomocą orężnego rokoszu przeciwko poganom. Żadna siła nie zmieni woli Boga, Jego wyroków. Obowiązkiem waszym czekać Mesyasza cierpliwie, a gdy nadejdzie — przyjąć Go.

To znów mówił:

— Dzieło Boże spełni się, jeżeli okażecie się woli Boga powolnymi; jeżeli wyrzekniecie się uprzedzeń, zdrożności, namiętności swoich, zgoła wszelkiego złego. Więc żałujcie za grzechy, wyznawajcie je, pokutę czyńcie.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Ojcowie Kościoła i Najwyżsi Nauczyciele tak głoszą i taką naukę podają. Ś-ty Ireneusz w księdze przeciwko herezyom pisze: Chrystus wszystko naprawił, zdeptał głowę węża podług przepowiedni w księdze rodzaju zapisanej: „położę nieprzyjaźń między tobą i niewiastą—między nasieniem twojem i nasieniem jej — Ona (Marya) zetrze głowę twoją a ty czyhać będziesz na piętę jej. Była to prorocza zapowiedź o Tym, który miał się narodzić z Dziewicy... i na nią powołuje się Apostoł: gdy przyszło wypełnienie czasu, zesłał Bóg Syna swego uczynionego z niewiasty [1]).

Ś-ty Jan Chryzostom, powtórzywszy tekst dopiero co wspomniany — tak go opisuje: — „wzbudzę niewiastę, która nie będzie z tobą trzymać a nasienie jej będzie pogromcą twoim": — wyraźne odniesienie proroctwa do osoby Najświętszej Maryi Panny i Jej Syna a Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Ś-ty Izydor (Pelusiot) w podobny sposób rozwija słowa w Księdze Rodzaju zapisane i mówi: Potomstwem niewiasty, które Bóg stawia naprzeciw rodzajowi wężowemu—nie kto inny tylko syn niewiasty (Jezus) gdyż on sam jest nasieniem niewiasty bez współdziałania człowieka i bez żadnej ujmy dla jej dziewictwa. Wyrażenie to *nasienie niewiasty*, albo co na jedno wychodzi, *narodzony z niewiasty*, trzykrotnie tylko spotyka się w Piśmie Ś-tym, a mianowicie: w 3 rozdziale Księgi Rodzaju, w liście do Galatów i w Objawieniu Ś-go Jana. Jedno drugie objaśnia, zestawienie ich razem stwierdza, że nikt inny ową niewiastą nie jest, tylko Najświętsza Marya Panna.

---

[1]) Gal. 4,4.

Święty Leon pisze: Bóg wszechmogący, Bóg pełen dobroci na początku dał obietnicę naprawienia tego, co złość dyabelska zepsowała. Jezus Chrystus Bóg-Człowiek przez swe cudowne przyjście na ziemię dokonał tego dzieła.

Nauka ta przez wieki podawana i za dni naszych w życiu duchowym odbić się musiała. W Encyklice swojej o Różańcu Leon XIII Papież tak przemawia do wiernych [1]): „Na początku wieków zapowiedzianą była błogosławiona Marya od Boga pierwszym Rodzicom naszym, wtedy, kiedy winnymi się być poczuli — a obietnica ta odnosiła się do wszystkich, na których ciążyło pierworodne przestępstwo — była ona zakładem przyszłego odrodzenia i zbawienia. Oto nieomylnej powagi wyjaśnienie.

Pius IX, ogłaszając Niepokalane Poczęcie jako dogmat, tak przemawia: Ojcowie i pisarze Kościoła najbardziej o to zabiegali, aby pismami swemi wyjaśniać orzeczenie Pisma Ś-go, a tym sposobem bronić dogmatów wiary — oświecać wiernych — przepowiadać prawdę, głosić zwycięstwo odniesione przez Maryę nad nieprzejednanym nieprzyjacielem rodzaju ludzkiego. Każdy rozumie, kogo wskazuje Ojciec Ś-ty — nie poprzestając na tej wzmiance — tłumaczy rzecz jaśniej: Dlatego to, rozbierając słowa, w których Bóg na początku wskazał środki w miłosierdziu swojem, dla ratowania naszego postanowione. Ojcowie Kościoła zawsze nauczali, iż owo wyrażenie: położę nieprzyjaźń między tobą i niewiastą i t. d., odnoszą się do Zbawiciela naszego, Jedynego Syna Bożego — Jezusa Chrystusa i stosują się do Najświętszej Maryi Panny — a zarazem Matki, z której wziął ciało i duszę i stał się człowiekiem [2]).

Dotychczas staraliśmy się zestawić objaśnienia, które posłużyć mają do usprawiedliwienia wniosków stawianych na fundamencie słów Pisma Ś-go, podanych w Księdze Rodzaju.

Objawiony został zamiar Boski, aby niewiasta, jako stała się przyczyną zguby rodzaju ludzkiego, uczestniczyła w jego odkupieniu. Inaczej odwet nie byłby zupełny — zwycięstwo łączy się z poniżeniem zwyciężonego. Niewiasta dała początek nasieniu węża czyli potomstwu w niewolę czarta poddanemu, z niewiasty przychodzi zwycięzca dyabła i ona staje się matką potomstwa wyzwolonego z jarzma grzechu. Nie można inaczej pojmować planu Boskiego — tylekroć opisanego w dziełach Ojców Świętych.

Pan Bóg sam udziela wskazówkę, gdy mówi do Kusiciela „ponieważ to uczyniłeś“, więc cię spotka należna kara. Otwórzmy Ewangelię

[1]) Enc. Augustissima 12 sept. 1897.

[2]) Bulla Ineffabilis Pii P. IX 1854.

Ś-go Łukasza, opowiadanie jego o Zwiastowaniu Anioła będzie dokładnem powtórzeniem obietnicy danej w raju — uwidoczni się jej spełnienie — utwierdzimy się w przekonaniu, że niewiasta, która miała zetrzeć głowę węża — to Marya.

Odkąd poznaliśmy w Maryi niewiastę obiecaną przez Boga a Pana Jezusa, jako nasienie jej — owoc żywota — Macierzyństwo Maryi nie potrzebuje lepszego świadectwa. Matka Zbawiciela jest matką nowego potomstwa, jest i Bogarodzicą, ponieważ odkupicielem naszym jedyny Syn Boży.

Niemniej jasną jest prawdą, że wszyscy męką Zbawiciela odkupieni — stając się wyzwolonymi z niewoli czarta — jesteśmy potomstwem tej nowej Ewy — Matki żyjących. Dlaczego? Najprzód dlatego, że nam dała pogromcę węża, a z nim życie łaski. Przyjaźń Ewy z wężem uczyniła z niej matkę umarłych — nieprzyjaźń Maryi sprawiła, że stała się matką żyjących. Słyszeliśmy to nauczanie, głoszone przez Ojców Kościoła — a przecież sam tekst obietnicy Bożej jest argumentem bezpośrednim i uderzającym. Ów owoc — nasienie — potomstwo niewiasty — nie oznacza samej tylko osoby Zbawiciela — ma ono i znaczenie zbiorowe. — Wyrażenie to odnosi się do wszystkich sprawiedliwych i w jedności — w łączności pozostających z Jezusem Chrystusem — pracujących nad obaleniem królestwa złości — panowania dyabła i w samych sobie i w innych. Zapewne, że nasieniem niewiasty głównie jest Jezus Chrystus, — ponieważ On pogromcą złego ducha — a wszyscy inni, jeżeli uczestniczą w Jego zwycięstwie, jeżeli idą śladami Jego i są członkami Jego, to tylko dlatego, że są Chrystusowi.

Wreszcie ponieważ nasienie, o którem mowa w 3 rozdziale Księgi Rodzaju, znaczy potomstwo niewiasty i przez nie rozumiemy Jezusa Chrystusa, jako głowę i wszystek rodzaj sprawiedliwych ludzi — ponieważ znowu ową niewiastą jest Marya, to ów tekst Księgi Rodzaju ukazuje podwójne macierzyństwo błogosławionej Panny czyli macierzyństwo w porządku natury i w porządku łaski. Nic to nie przeszkadza, że pierwsi ludzie nie mogli w całości pojmować owego proroctwa.

Nowy testament usuwa wszelką trudność i wyświeca sprawę w zupełności. Dzięki dobrej nowinie, przyniesionej z Nieba, Marya ukazuje się nam od początku czasów tem, czem była w zamiarach Bożych— Matką Boga-Człowieka i Matką naszą, to jest matką całego rodzaju ludzkiego.

(D c. n.)

ks. Wl F.



Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Wreszcie około południa skończyło się nabożeństwo, a w pół godziny przyniesiono Millerowi list z klasztoru. Schwycił go jenerał, zdarł pieczęcie, a przeczytawszy — osłupiał! Pisał bowiem przeor:

„Jaśnie Wielmożny Panie! Niechaj się dowie Wasza Dostojność, iż nie jest naszem powołaniem wybierać królów, ale tylko wybranych, przez Wysokie Stany Królestwa, szanować i być im posłusznymi. Kogo zatem czuwający nad Rzeczpospolitą wybierają, temu i my, tak siebie samych, jako też i święte miejsce, które dotąd w opiece i największej czci u królów było, kornie poddajemy i poddawać będziemy. Ale do tego nie zmusza nas oręż, bo rycerstwo nie jest naszem rzemiosłem, ani mamy po temu siły, by się opierać potędze królów. Widzieliśmy rozporządzenie Jego Królewskiej Mości, a ponieważ mamy dostateczną załogę do powstrzymania napadu na miejsce święte, dlatego rozporządzenie wspomniane w wielką nas wprowadziło wątpliwość, tembardziej, że klasztor nasz z kościołem mają oddawna innego pana i zowią się *Jasną-Górą*, miasto zaś Częstochowa wcale do klasztoru nie należy. Dlatego błagamy usilnie Jego Dostojność, abyś zechciał zostawić w pokoju zgromadzenie nasze, oraz kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy

poświęcony, żeby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat Boski błagano o powodzenie i zdrowie Najjaśniejszego Króla. Tymczasem my, niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względom Waszej Dostojności, pokładając ufność w Jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy.“

— To podstęp! To oczywiste drwiny! — wrzasnął Miller, skończywszy czytanie i rozkazał niezwłocznie szturm nowy do klasztoru przypuścić.

Był to dzień straszny dla oblężonych, ale Kordecki, zaraz po nabożeństwie, sam stanął na murach i w natchnieniu, rozpłomieniony wiarą, kierował obroną, którą potrafił uczynić dalszym ciągiem modlitwy. Wszystka szlachta uznała hetmana w przeorze. Nikt ust nie śmiał otworzyć. Inny to już był człowiek. Potęga jego słowa, jego skinienia tak była wielka, że jej nikt, nawet miłość własna wojaków starych, sprzeciwić się nie mogła. Pogodna była twarz jego, wzrost zdawał się olbrzymieć, głos dwoić, myśl obejmowała wszystko i przewidywała to, co się stać miało.

Jeszcze Szwedzi nie zdążyli się ustawić przy pięciu nowo usypanych bateryach swoich, które miały miotać pociski na klasztor, burzyć mury i pożar wzniecać, a już w klasztorze po dachach wszystkich, po drewnianych budowlach, ludzie, woda, osęki, płachty mokre i stróżowie byli gotowi. Kordecki sam to wszystko przysposobił zawczasu. Zamoyskiemu polecił strzedz baszty i części kortyny północnej; Czarnieckiemu straż nad ludźmi, ustawionymi w stronie północno-wschodniej; Moszyński przywodził od wschodu; Skórzewski i Krzyżtoporski od południa i południo-wschodu. Lud czerniał na murach dokoła; do dział gotowych, niewiasty, dzieci, księża, nosili kule, zataczali kamienie i drzewo; w dziedzińcach szybko wdziewano zbroje, opatrywano rusznice — szczęk orężny zewsząd słyszeć się dawał.

Tymczasem z rozkazu przeora, dla dodania serca żołnierzom, na szczycie wieżycy kościelnej, zabrzmiała kapela klasztorna pieśnią wojenną: „Bogarodzica Dziewica! Bogiem sławiona Marya!“

Kto żyw, z przejęciem wtórował głosem kapeli, aż szeroko po okolicy rozległ się śpiew i uderzył w uszy i serca Polaków, posiłkujących Szweda, którzy wtórować nie mogli. Tak — niegodni już byli sławić Maryi.

— Jużeśmy gotowi — mówił Kordecki — lecz nie nasza rzecz poczynać. Niech oni pierwsi się odezwą, pomnijmy, że się bronim tylko.

Przeto czekano. A w obozie Szweda widać ruch wielki, trąby i kotły zwoływały żołnierzy pod chorągwie, starszyzna przelatywała na

koniach, hufce zajmowały stanowiska, w bateryach rychtowano działa. Miller, otoczony pułkownikami, stał na wzgórzu i patrzył.

Pięć baterуj, w ciągu nocy przygotowanych, zagrażało teraz Jasnej-Górze: pierwsza, naprzeciwko samego klasztoru, na dachy jego zdawała się być wymierzoną; druga, czterodziałowa, nieco ku Częstochowie posuniętą była; trzecia, największa, z północy wymierzona, bardzo mocno z koszów plecionych zbita, z ośmioma działami, najstraszniejszy miała pozór; dwie jeszcze ustawiono od kościoła Ś-ej Barbary i od zachodu. Wreszcie zadymiły baterye szwedzkie, huk rozległ się straszliwy, bomby, kule, granaty pędziły z ogniem, ze śmiercią na klasztor.

— Teraz na nas kolej — zawołał przeor, wznosząc do góry krzyżem Pańskim uzbrojoną rękę — ognia!

Zagrały działa jasnogórskie, a na mury posunęli się zewsząd żołnierze, bo piechota szwedzka, minąwszy strzał działowy, biegła do szturmu. Na dachach klasztornych żarzyły się bomby nieprzyjacielskie, ale ogień gasili stróżowie; w podwórcach kule padały gradem, mijając jednak żołnierza; jedne, źle kierowane, przenosiły klasztor i kościół, inne wcale ich nie dosięgały. Pieśń na chwałę Maryi brzmiała wciąż i chwilami głuszyła strzałów grzmoty.

Przeor z krzyżem szedł i śpiewał, zatrzymując się przy zlęknionych, błogosławiąc mężnych. Gdy, po pierwszej chwili trwogi, po pierwszych strzałach szwedzkich, nikt nie upadł,—każdy z zapałem rzucił się do boju. Działa szwedzkie dość szczęśliwie napastowano kulami, a z ręcznej broni celnie rażono podkradających się bliżej żołnierzy.

Zajadłość Szwedów, którzy wysilali się na pokonanie szczupłej garści obrońców Maryi, a tego nawet osiągnąć nie mogli, żeby ich przerazić, dochodziła do najwyższego stopnia. W przestankach kanonady odzywająca się kapela dokuczała im, jak naigrawanie, jak szyderstwo. Miller—rozgorączkowany, wściekły, wydawał rozkazy, nie mogąc się nadziwić, iż pociski nie zapalają dachów. Lżył, bezcześcił puszkarzów—to jednak nie pomagało. W kilku miejscach wystrzelał pożądany płomyk, ale wnet gasł i dym tylko działowy otaczał twierdzę. To go więcej jeszcze jątrzyło, że pociski jasnogórskie pokotem kładły jego żołnierza.

Wieczór się zbliżał, walka wciąż trwała. Miller wysilał się na coraz gęstsze strzały, — Kordecki mu odpowiadał mniej zapalczywie, ale o wiele skuteczniej. Jasnogórscy z przedziwną walczyli otuchą. Wszyscy prawie mieli u pasa lub na szyi różańce, na piersiach blaszane wizerunki Bogarodzicy, w uściech Jej chwałę. Szlachta stała na wyznaczonych miejscach murem; jeno starce, niewiasty i dzieci w zabudowaniach zostawali, modląc się o zwycięstwo. Zakonnicy tymczasem, którzy nie mieli wyznaczonych stanowisk i dozoru, odprawiali zwykłe, regułą przepisane, nabożeństwo, a ich chór łączył się z odgło-

sami niedalekiego boju, od którego drżały okna i mury. Niekiedy padająca kula, niosąca za sobą odłam muru, trzask łamiącej się na dachu krokwi, plusk wody, przerywały śpiew zakonników.

Kordecki był jednocześnie wszędzie: i na modlitwie z braćmi, i na murach z żołnierzami. Zdawało się, że się podwajał, potrajał... Głos jego brzmiał donośnie na wszystkie strony, a pogodne oblicze ukazywało się niespodzianie, aby przewodniczyć w modlitwie i w walce. Chwilami jeno zapadał w głębokie zamyślenie, prorocze, posępne, jak gdyby postrzegał przed sobą wszystkie przyszłości klęski i ofiary, jakby go duch przenosił w cięższe jeszcze czasy, kiedy i wodzów, i proroków zabraknąć miało. Niekiedy łza zabłysła mu na oku, ale prędko spaliła mu je na licu odwaga, i mnich wódz, z przytomnością żołnierza, co wzrósł w bojach, znowu wydawał rozkazy, znowu zachęcał, ducha i męstwo krzepił, kierował.

Noc uśmierzyła szturm. Szwedzi, ufni w siły swoje i przewagę, chcieli swobodnie odpocząć, a zakonnicy radzi byli, że wytchną nieco po całodniowych trudach.

Obóz szumiał jeszcze, jak oddalająca się chmura. Między wodzami, których zwołano na radę, znać było waśń jakąś i rozsianie niechęci. Miller w duchu obwiniał o wszystko Weyharda, który go namówił zaczepić ten, jak Jasną-Górę nazywał — kurnik. Przekonał się, że z zakonnikami nie pójdzie mu równie gładko, jak mniemał, a wstydził się odchodzić z niczem. Spodziewał się, że tu przyjdzie niemal na gotowe, zagarnie skarby i wróci tryumfalnie, wzbogacony, a tu zanosiło się na formalne, długie, mozolne oblężenie, przy którem bez wielkich dział burzących obejść się było niepodobna. Dzień miniony dowiódł mu jasno, że armaty polowe nic tu nie poradzą, że zakonnicy hukiem, łoskotem i groźbami się nie przerażą.

Weyhard, prześladowany wymówkami, unikał Millera, który kwaśne na niego rzucał spojrzenia; Sadowski spełniał rozkazy ściśle, ale widocznie bez ochoty, tak samo książę heski. Miller chmurny był, oburkliwy, bo nietylko go dojmował opór zakonników, ale także to, że niewygody znosić musiał. Zaraz po szturmie wysłał do Krakowa po wielkie działa burzące, chociaż Weyhard usiłował mu dowieść, że się bez tego obejdzie. Mówił:

— Trocha cierpliwości, jenerale! Długo tak nie potrwa, mnisi na kolanach błagać będą o łaskę. W każdym razie znajdziemy na nich sposób.

— Ja widzę jeden sposób: zburzenie murów przy pomocy wielkich dział — mruknął Miller.

— O! są jeszcze inne sposoby prowadzenia wojny—rzekł Weyhard, a na dopytywania Millera, Horna, gubernatora krzepickiego, i innych

komendantów, dodawał tajemniczo: — Teraz zamysłu mego wyjawić nie mogę, dowiecie się o nim rychle.

Gorzko uśmiechnął się Miller.

— Et! — ozwał się niechętnie — co tu gadać... Obiecujesz złote góry, a kończy się na skalistych, niedostępnych opokach. Nie żądaj, iżbyśmy ci, po doznanym zawodzie, ufali. Jana-Góra inaczej się przedstawiła, a nie tak, jak o niej rozpowiadałeś.

— Cierpliwości! — powtórzył znacząco Weyhard i udał się do swojej kwatery z pułkownikiem Kalińskim, aby knuć z nim przeciwko klasztorowi haniebną zdradę.

W kwaterze czekał go Niemiec Purbach, rodem z Prus Książęcych, piechór z oddziału księcia heskiego; ten podjął się z klasztorem nawiązać stosunki i skłonić tamtejszych puszkarzów do zdrady; spodziewał się, że dokona szatańskiego planu, miał bowiem pomiędzy puszkarzami klasztornymi krewniaka, Machlera.

— Próbuj zatem — rzekł do niego Weyhard — jeśli ci się uda, nagrodę otrzymasz sowitą. Z robotą nie zwlekaj, a pamiętaj, żebym o każdym kroku twoim dokładną miał wiadomość. Słowem, nie zwierzaj się przed nikim, to zastrzegam. Niech ten twój Machler tak działami kieruje, żeby nam nie szkodziły; dowiedz się od niego, gdzie mury są najsłabsze... Niech się porozumie z załogą. Jeśli nie będzie mógł jej skłonić na naszą stronę, niech działa zagwoździ i do nas ucieka. Zresztą, wasza głowa pieczeń dla nas upiec—a do mnie należy zapłata. Nie będziecie żałowali, bądź pewien.

Taki oto posiew szatański rzucał graf Weyhard, katolik, który się protektorem klasztoru i zakonników mienił.

Dnia następnego działa szwedzkie znów się odezwały, zajadle i gęsto rzucając pociski na klasztor. Przeor Kordecki, który zawsze czekał, żeby nieprzyjaciel pierwszy zaczynał, odpowiedział ogniem z twierdzy raźno. Załoga, szczęśliwie odparłszy szturm wczorajszy, z większym zapałem prowadziła obronę. Machler tylko niedbale około swoich dział się krzątał, nieudolnie je rychtował, a strzelał powoli, bez starunku. Gdy go kto doglądał, sprawiał się jako tako, ale zostawiony sam sobie, zaraz ręce zakładał. Nie uszło to oka tych, co nadzór mieli nad strzelbą. Pan Zamoyski razy kilka Niemca ofuknął, Machler jednak wciąż się ociągał. To też z tej strony kule nie wiele zrządzały szkody nieprzyjacielowi, natomiast z innej szło raźniej i skuteczniej.

Szwedzi wogóle klasztorowi nienazbyt dokuczali, mimo usiłowań forsownych. Kule obijały się o mury bez impetu, jak gdyby dłoń Bożej Matki wszelką im siłę odbierała, staczały się w podwórca, upadały na bruki, aby następnie służyć do obrony. Na dachach gontowych, wśród su-

chego drzewa, pociski ogniste nie rozniecały tak pożądanego przez Szwedów pożaru. Kilka kul, przeniósłszy przez mury, upadły z drugiej strony warowni, nikogo nie poraziwszy; inne, upadając w obrębie klasztoru, ledwie zarysowały ślady przejścia po grubych jego ścianach. Jedna, odbita od komina, wpadłszy do izby pani Jaroszewskiej, gdy matka z krzykiem na widok jej leciała ku kolebce dziecięcia, w którą pocisk groźny zdawał się mierzyć, stoczyła się powoli i stanęła pod biegunem kołyski. Matka, rozradowana cudownem ocaleniem dziecięcia, pośpieszyła natychmiast do kaplicy cudownego wizerunku z dziękczynieniem. Zapał, męstwo, widniały na wszystkich twarzach obrońców Jasnej-Góry. Przeor Kordecki dzień cały niemal stał na murach, oddalając się tylko na modlitwę.

Nazajutrz Szwedzi również ze świtem szturm rozpoczęli, utrzymując ogień nieprzerwany ze wszystkich bateryj, a oblężeni odpowiadali im szparko. Przeor Kordecki, po wczesnej Mszy i Suplikacyach, kapeli grać rozkazawszy nieustannie na wieży, gwoli dodawania otuchy walczącym, w płaszczu swoim, w białej sukni, chodził, rozporządzał, zagrzewał, umacniał, słowem i przykładem. Szlachta dotrzymywała mu dobrze męstwem i ufnością w Bogu. Zamoyski, który często przemawiał do żołnierzy i miał sposobność okazania wysokiej swojej znajomości sztuki wojennej, nie ustawał w pracy. Czarniecki na powierzonej sobie części murów snuł jakieś w poczciwem sercu rojenia i plany. Stawał, poglądał, gestykulował, a oczyma szukał przeora. Spostrzegłszy go, rozjaśnił lice, wąsa podkręcił i rzekł:

— Czołem, księże przeorze wielebny, owom na stanowisku, baczny jako żóraw...

— Niech wam Bóg błogosławi, panie Piotrze, niech wam Bóg nagradza.

— Nigdym tak waszej wielebności nie czekał, jak dnia dzisiejszego, bo mi po sercu myśl chodzi, którą wyspowiadać muszę. Dokucza mi, niby grzech.

— No, no, co tam takiego? — zagadnął przeor.

— Pójdźmy trocha na stronę, żeby nas nikt nie słyszał... Ot tak! Tandem, księże przeorze, Szwed widocznie nas ma za niedołęgów, a to trzeba mu z głowy wybić. Lepiej, żeby się nas bał. Nocy ubiegłej dobrze przypatrzyłem się obozowi heretyków i przekonałem się, że nie zachowują żadnej ostrożności. Po prostu — nie uważają nas za żołnierzy. Oddziały przybliżają pod same mury bez straży, jak gdyby nas tu nie było. Przy takim ogniu, możem doskonałą dla nas pieczeń uskwarzyć...

— Jakim sposobem?

— Najłatwiejszym. Biorę garść ludzi dziarskich, wysuwam się bramką od wschodu, mijam czaty, jeśli są i z tyłu na tych Szwedów napadam, którzy od północo-wschodu się rozłożyli, a ognie palą, piją, rozpustują po całych nocach. Zanim broń pochwycą, my już się z nimi sprawim.

Przeor dłonie do góry wzniósł:

— Doskonała myśl! — zawołał. — Takich mi ludzi dawaj, taką wiarę, takie serca, a Rzeczpospolita nie padnie ofiarą pierwszego lepszego najeźdźcy. Wśród zwątpienia, rozpaczy, upodlenia, jak kwiat wśród chwastów, rosną jeszcze wielkie dusze. Idź waszmość, idź w imię Boże, panie Piotrze, ale ostrożnie, bo życie ludzkie drogie.

— Mam zatem pozwolenie zajęcia się wycieczką? — podchwycił gorąco Czarniecki.

— A nie poradzićby się o to pana miecznika sieradzkiego?

— Pana Zamoyskiego? Czemu nie, poszukamy go.

Pan miecznik sieradzki, gdy mu Czarniecki plan swój przedstawił, aż w ręce plasnął:

— W to mi graj, panie Piotrze! — rzekł — myśl wyśmienita. I mnie się o tem majaczyło, ale waszmość jużeś całe dzieło wykoncypował, więc tobie chwała. Skądże wycieczka pomknie?

— Od wschodniej strony — objaśnił pan Piotr. — Obejdziem Szwedów, którzy się naprzeciwko Częstochówki rozłożyli i tył im zajmiem.

— Doskonale. Radźmy teraz o wykonaniu. Kto wodzem? Kogo wybrać z żołnierzy? Ilu wziąć?

— Do takiej imprezy bierzcie jeno tych, którzy sami się nastręczą — zauważył Kordecki. — Ja z murów patrzeć będę, błogosławić a modlić się, dopóki mi was Bóg nie powróci, waleczne dzieci przesławnej ojczyzny.

Niezwłocznie też udali się panowie dowódcy zbierać ochotnika na wycieczkę.

Z początku zamiar pana Czarnieckiego wydał się wszystkim tak zuchwałym, tak niebezpiecznym, że żołnierze się ociągali. Dopiero pan Czarniecki rzekł dobitnie, po szlachecku:

— Co u kata, a toż jak orzech zgryść, tak rzecz łatwa. Ledwiebym nie powiedział, iż w tem niebezpieczeństwa żadnego niema. Jakto, nie potrafilibyśmy nocką obejść Szwedów i trocha ich przetrzepać? Pójdziem, chluśniem i wrócim. Przeto — komu Pan Bóg dał wolę, kto łaskaw — ze mną!

Tym razem wezwanie odniosło skutek, wszyscy niemal prosili pana Czarnieckiego, żeby ich do uczestnictwa w wyprawie dopuścił. Ale pan Czarniecki sześćdziesięciu jeno wybrał, gdyż tylu za liczbę dosta-

teczną uważał. Wydzierał się na wycieczkę i pan Zamoyski, tego jednak ks. Kordecki zatrzymał, mówiąc:

— Nie, kochany mieczniku, dwóch wodzów na los niepewny oddać nie mogę. Waszmość musisz pozostać ze mną.

Gromadka wybranych, w dziedzińcu się zebrawszy, naradzała się, zbroiła, umawiała, wśród padających zewsząd kul szwedzkich i łoskotu łamiących się murów. Z niecierpliwością oczekiwano zmroku, pan Czarniecki co chwila wychodził na mur, poglądał na niebo, na słońce i głową trząsł, jakby wymawiając dzionkowi, że trwa tak długo. Gdy tak rozmyśla i niecierpliwi się, zbliżyła się do niego żebraczka Kostucha, baba bezzębna, na jedną nogę utykająca. Od lat wielu pozostawała przy klasztorze, miłosierdzie Ojców Paulinów chroniło ją od chłodu i śmierci głodowej, więc też przywiązała się do dobrodziejów serdecznie i starała się wszelkiemi sposoby wywdzięczać za ich wzgląd na jej nędzę. Nazywano ją „wierną służką klasztoru", bo istotnie zaufać jej było można, a wszelkie polecenia z rzadką spełniała roztropnością. Zbliżywszy się do Czarnieckiego, obejrzała się na wszystkie strony i zapytała szeptem:

— Wasza miłość na wycieczkę do obozu szwedzkiego się wybiera?

A Czarniecki ofuknął ją:

— Tfu! Już i żebracy o tem wiedzą?

Rozśmiała się baba.

— Albożem to ja nie służka Matki Boskiej, żeby przede mną mieć tajemnice? Nie o to tu idzie, niech wasza miłość posłucha. Gdy już wyjdziecie po za mury, klaśnijcie trzykroć w dłonie, a ja się do was przystawię.

— Ty, babo, do nas? A po co?

— Ho! ho! proszę waszej miłości, i taka niezdarna babina podczas wojny przydać się może — przechwalała się stara. — Nocuję ja w fosie, zewnątrz murów, we dnie chodzę do miasteczka i z miasteczka kilka razy przez obozy, tedy stanowiska Szwedów znam. Poprowadzę was między Ś-tym Jakubem a bateryą tak, że żywa dusza nie postrzeże. Wpadniecie wasza miłość na karki śpiącemu Szwedowi, ani się opamięta, skąd na niego taki piorun gruchnął...

— Śliczna wyprawa, z takim wodzem — śmiał się Czarniecki.

— Niech się wasza miłość śmieje do woli i na zdrowie, a ofiary starej Kostuchy nie odrzuca. Nie ja to, lecz Bóg prowadzić was będzie.

— Zgoda — rzekł Czarniecki, a do siebie dodał: — Jakże tu nie walczyć, gdy taka mizerota, nad grobem stojąca, tyle ma odwagi i tak gorliwie ku obronie miejsca świętego się garnie?

Zmrok wreszcie zapadł, ognie szwedzkie, z daleka widoczne, doskonale oznaczały obozowisko. Szwedzi tak w rzeczy samej byli nieopatrzni, że — co już pan Czarniecki zauważył i z czem się przeorowi

zwierzył — że skończywszy ze szturmem — pili i rozpustowali przy ogniskach, a potem usypiali, bez ubezpieczeń koniecznych w czasie wojny. Millerowi ani do głowy przyszło, żeby wystraszeni, jak mniemał, mnisi, napadać go mieli w jego własnym obozie.

Tymczasem gromadka walecznych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy, kosy nawet, zbierała się już w podwórcu. Coraz to z głębi ciemności nocnej wychodził żołnierz orężny i zwiększał liczbę ochotnika. A nie miała ta gromadka wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i ubranych jednako. Każdy odziany był i uzbrojony po swojemu; każdy przypasywał doświadczony miecz pradziadowski, karabelę, która mu do ręki przypadała, którą był nawykł machać i płatać; wdziewał hełm wygodny, opasywał pierś pancerzem, dobranym do niego. Na wielu z tych zbroic połyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII wieku w Polsce, dziś jeszcze na wykopywanych zabytkach widoczna, bo gdzie znak ten rdza wyjadła, cztery po nim zostały otwory. Inni mieli na szyi blachy z wizerunkiem Matki Boskiej, ryngrafami zwane; inni różańce, pozawieszane na szyi, brzęczące na zbroi; inni z tyłu i z przodu pozawieszane szkaplerze z imieniem Maryi.

(D. c. n.)



KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1624. Marcyan Leśniowski, szlachcic, zabił w zwadzie szlachcica Chwaliboga i sam śmiertelnie poranionym został. Przeciwnik, oprócz innych ran, gardziel mu przeciął na wylot. Leśniowski dekretem srogim zagrożony i śmiercią z ran, do Pani Anielskiej się udał. Jakoż sędziowie uniewinnili go, a rany dziwnie szybko się zabliźniły. Leśniowski, cudownie ocalony, niezwłocnie na Jasną-Górę pielgrzymkę odbył i wotum srebrne do kaplicy wizerunku ofiarował.

R. 1625. Anna z Tarczyna, córka Bartłomieja, młynarza, i małżonki jego, Jadwigi, służąc w Warszawie, dopuściła się dzieciobójstwa, w szale wstydu i rozpaczy. Zbrodnia wydała się — schwytano ją i w więzieniu osadzono. Nie zapierała się, wyznała zbrodnię, a ponieważ upamiętanie na nią przyszło, szczerą, głęboką okazywała skruchę i łzami rzewnemi się zalewając, błagała Panienkę Najświętszą o orędownictwo do Boga Najwyższego, iżby jej wiecznem potępieniem nie karał. Sędziowie skazali ją na śmierć od topora. I tu dziw się stał, bo trzykrotnie ją wyprowadzano na plac kaźni, a za każdym razem coś stanęło na przeszkodzie wykonaniu dekretu. Więc sędziowie zmienili wyrok stanowiąc, iżby z kamieniem u szyi utopioną była w Wiśle. Jakoż przywiązano jej do szyi kamień ogromny i rzucono ją do Wisły, a patrzyło na to mnóstwo ludzi. Dobre pół godziny upłynęło, tłum stał jeszcze na brzegu, modląc się, jak wszyscy mniemali, za duszę straconej, aż tu ona z wody się wynurza i z kamieniem u szyi pływa, nie

tonąc. Wydostano ją na brzeg, rozpytywano: co znaczy, że wypłynęła i mimo ciężaru, ją obarczającego, do dna nie szła. Odparła, iż to zapewne sprawiła Panienka Najświętsza, do której o pomoc się udała. Cud jawny wzruszył sędziów, uwolnili ją od kary, ona zaś podążyła na Jasną-Górę z dziękczynieniem i zeznaniem, które liczni świadkowie poparli.

R. 1627, dwaj studenci z Krakowa takie złożyli w klasztorze jasnogórskim zeznanie: „Bogu Najdobrotliwszemu, Bogarodzicy Pannie Maryi, chwałę i cześć składają dwaj studenci krakowscy. Gdy bowiem za kryminał (zbrodnię) pewny na śmierć dekretowani zostali, ofiarowali się Jasną-Górę nawiedzić, a Pani Anielska, skruchę ich uważając, wpłynęła na sędziów, iż przy życiu ich zachowali.“

Pod r. 1641 zapisano w aktach klasztornych takie zeznanie: „Andrzej, szlachcic z Podlasia, niewinnie o zbrodnię posądzony, dostał się do więzienia na długie czasy. Już rok znosił tę karę, dźwigając kajdany na rękach i nogach, oraz dwukrotnie łańcuchem przepasany. Po roku, przypomniawszy sobie łaski, otrzymywane przez ludzi, za pośrednictwem Panienki Jasnogórskiej, zwrócił się też do Niej z błaganiem kornem. Zaraz okowy i łańcuch z niego opadły, drzwi się otworzyły same. Tem ośmielony, wyszedł z więzienia. Trzydziestu ludzi go pilnowało, przechodził tuż obok nich, oni zaś go nie widzieli. Podążał wprost do Częstochowy. Rychle jednak pogoń za nim wysłano, lecz ta nie obaczyła go, bo mgłą był jakąś otoczony. Co więcej, pogoń spotkała go w gospodzie, jadła z nim, piła, a nie poznała w nim ściganego. Szczęśliwie na miejscu świętem stanąwszy, zeznanie czyni pod przysięgą.“

W rozdziale piątym części ósmej dzieła, ks. Nieszporkowicz wylicza nawrócenie różnych osób, za sprawą Bogarodzicy Maryi, nadmieniając, iż niektóre jeno zdarzenia tu opisuje, „bowiem wszystkich niepodobna wyrazić, z powodu ich mnogości. Przecież jeden tylko penitencyaryusz apostolski, Wielebny Ojciec Jędrzej Gołdonowski, przez lat tylko 15, aż 3,000 heretyków tu, na Jasnej-Górze nawrócił, przeto można sobie wyobrazić, ilu łaski nawrócenia doznało przez cały czas istnienia Jasnej-Góry.“ Wymienia zatem ks. Nieszporkowicz:

R. 1613, żołnierza pewnego z Inflant, heretyka. Ten w niewoli pozostawał, a z nim razem niewolę dzielił katolik, który gorąco błagał Panienkę Częstochowską o ratunek. Nie zwracał na to uwagi Inflantczyk, czas upływał, a wciąż trzymano go w okowach. Dopiero po sześciu latach, gdy się dowiedział, że ma być ścięty, zwrócił się do Bogarodzicy, obiecując wyprzysiężenie się błędów, jeśli śmierci ujdzie. Uszedł dziwnym sposobem, bo dziesięć razy wyprowadzano go na plac kaźni, a za każdym razem odkładano wykonanie dekretu. Ostatecznie

darowano mu życie i wolność, on zaś przybył na Jasną-Górę i przeszedł na łono Kościoła katolickiego.

R. 1627, Filip Ustrzycki, heretyk, dostawszy się w niewolę tatarską, ślubował wyrzec się błędów odszczepieńczych, w razie uwolnienia się. Wejrzała w szczere intencye Bogarodzica, udzeliła mu pomocy, on też, wolność odzyskawszy, ślubu dotrzymał.

R. 1629. Młoda panienka, Anna Włodówna z Uszyc, w błędach luterskich żyjąca, paraliżem nieuleczalnym został tknięta. Rozpaczającej, doradzili katolicy, aby udała się do łaski Panienki Częstochowskiej, ślubując przytem nawrócenie. Poszła za dobrą radą Anna i rzeczywiście ozdrowiała, lecz obawiając się rodziców, ślubu nie wypełniła. W czas niejaki, powietrze ją dotknęło morowe. Zagrożona śmiercią, znów ślub powtórzyła, znów łaski doznała, lecz i tym razem obawa rodziców wstrzymywała ją od wypełnienia ślubu. Rychle w chorobę gardła zapadła i znowu śmierć miała przed oczyma. Teraz już obawy wszelkie usunąwszy, szczerze rodzicom wyznała, jako ją zapewne Bogarodzica karci, za niewypełnienie ślubu. Rodzice, przenosząc życie córki nad wszystko, pozwolili jej raz jeszcze do Pani Anielskiej się zwrócić. Niewyczerpana w miłosierdziu Matka Boża uzdrowiła i tym razem Annę, która też zaraz z łóżka wstawszy, udała się na Jasną-Górę i wiarę katolicką przyjęła.

R. 1646. Aleksander Ślichtynek, szlachcic, aryańskiemi błędami dotknięty, dostał się w niewolę tatarską. Długo w niej cierpiał, a nie spodziewał się odzyskania wolności, bo na okup liczyć nie mógł. Razu pewnego stanęła przed nim Pani, w białych szatach, jasnością otoczona, z dwiema panienkami. Ta upomniała go: — Wolności pragniesz, a o życia poprawie, przez nawrócenie się do wiary katolickiej, nie myślisz? — Uczynił ślub Ślichtynek poprawy życia, skoro niewoli ujdzie. Jakoż uszedłszy, wrócił do Polski, przyjął chrzest z rąk ks. Rączkowskiego, oficyała poznańskiego, i z jego świadectwem na Jasną-Górę przybył, aby Panience Najświętszej podziękować, gdyż łacno rozumem doszedł, iż to Ona mu łaskę okazała.

W rozdziale szóstym części ósmej dzieła ks. Nieszporkowicza mamy opisane: jak karci Panienka Częstochowska niedbalców, którzy łaski Jej doznawszy, ociągają się z wypełnieniem ślubów:

R. 1555, Anna Iłowska zeznała do akt klasztornych, co następuje: „Ja, Anna Iłowska, wojewodzina płocka, w chorobie ciężkiej obiecałam to miejsce święte nawiedzić, a z niedbalstwa, przez czas niemały, zaniechałam ślub wypełnić. Rychle Bóg Sprawiedliwy znów mnie dotknął plagą niemocy ciała i znów darował zdrowiem. Dlatego teraz, z miłą ochotą i z wiarą mocną, obietnice poczynione pełniąc, nawiedziłam to miejsce święte. Wyznawam tedy wielką dobroć Pana Boga, który mnie

pocieszyć i uzdrowić raczył, za przyczyną Matki Swojej, Panny Najświętszej.“

R. 1570 zapisali Ojcowie Paulini w księgach klasztornych zeznanie takie: „Ja, Jadwiga Pilchowska z Dzierzkowa, podstolego wyszogrodzkiego małżonka, wyznawam, żem srogiemi niemocami, ze trzema synami moimi, złożona na śmierć była i już o nas zdesperowani byli wszyscy. Ale za namową małżonka mego, skorom siebie i synów na to miejsce święte ofiarowała, zaraz ozdrowieliśmy. Także zeznawam, iż wykonanie ślubu zwłócząc, ukarana zostałam przez chorobę ciężką, a wtedy znów ślub ponowiłam. Łaski powtórnie dostąpiwszy, ślub spełniam i sławię Przenajświętszą Bogarodzicę.“

R. 1576 zeznaje Mikołaj Powierski z Łęczyckiego: „iż gdy mnie Bóg, jako Sędzia Sprawiedliwy, raczył skazać taką niemocą srogich i skrytych wrzodów, że już i siła, i mowa, ustały we mnie, począłem sobie w bolach tych rozpamiętywać Mękę Jezusową, modląc się sercem i myślą do Najświętszej Panny o przyczynę za mną i obiecując nawiedzić miejsce święte w Częstochowie. Zaraz też, po kilku godzinach, niemoc tę i wrzody Pan Bóg ode mnie odjął, mowę i zdrowie przywrócił. A że zaniedbałem wypełnić ślub ten, znów mnie skarać raczył blizkiem w ogniu niebezpieczeństwem śmierci. Bo gdy dwór p. Świenickiego gorzał, a ja go też bronił, wpadłem sam w ogień. Wtedy przypomniałem sobie ślub do Częstochowy zaniedbany i ze skruchą ponowiłem go. Dziwna i cudowna sprawa (łaska Pana Boga), żem z ognia bez wszelkiej szkody wyszedł. Co wyznaję i chwałę a cześć składam Bogu Najwyższemu i Jego Matce Przenajświętszej.“

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

IV.

Wojciech, syn Sławnika, pana na Lubiczu czeskim.

I.

Chrobrym, to jest *dzielnym*, nazwano Bolesława, syna tego Mieczysława, który wiarę chrześcijańską do Polski wprowadził, a ten przydomek dostał się Bolesławowi sprawiedliwie. Był bowiem Bolesław *dzielnym* w całem znaczeniu, na każdem miejscu: w boju, w rządzie krajem, w stosunkach z sąsiady, w służbie dla chwały Bożej.

Im więcej panowie i królowie świeccy Panu Bogu pokorni byli — tak nadmienia o Bolesławie jeden z dziejopisów — tem groźniejszymi dla nieprzyjaciół zostawali; im szerzej chwałę Bożą rozmnażali: tem szerzej i dalej państwo ich Pan Bóg rozmnażał; im więcej kapłany, albo raczej Chrystusa w nich czcili, i kościoły obdarzali, i na wzór króla Dawida, miłowali cześć domów Bożych: tem ich więcej wynosił Pan Bóg i państwa ich wszelkiem dobrem bogacił. Mamy świadectwa, jak był gorącym Chrobry w nabożeństwie i rozkrzewianiu wiary świętej katolickiej, z Rzymu, od Stolicy Apostolskiej, przez ojca jego wziętej; jak wiele biskupstw fundował, klasztorów nabudował. Dla drzewa Krzyża Ś-go osobny klasztor na Łysej górze wzniósł. O żadną się rzecz

pilniej nie starał, jak o rozszerzenie wiary Chrystusowej i wykorzenienie bałwochwalstwa z onych nowonawróconych poddanych swoich. O żadną się rzecz bardziej nie gniewał, jak o wzgardę (lekceważenie) rzeczy Bogu i wierze służących. Żadnego występku bardziej nie karał, jak krzywdy kościelne i duchowieństwa, jak gdy kto śmiał na kapłany i duchowne dobro się targać.

Wszystkie kościoły od ciężarów pospolitych (podatków), wojennych oraz innych wyzwolił i wieczną wolnością darował. Sam oglądając powiaty, patrzył, czy się jeszcze gdzie co z pogaństwa i zabobonów znachodziło? Czcił tak kapłany, iż żadnemu nigdy stać przed sobą nie dopuścił, siedzieć, gdy sam siedział, kazał. To też go Pan Bóg niezliczonemi zwycięstwy wsławił i państwo jego rozszerzył. Miło bardzo czytać o nim i słuchać. Na wschód słońca postawił granice i słupy żelazne w Dnieprze, a na zachód w rzece Sale, ziemi saskiej. Na północ słupy takież, granicząc państwo swe, w rzece Ossie zwycięską ręką zasadził. Zwojował wschodnie, wielkie i szerokie, z którem cesarze carogrodcy mieli ciężkie wojny, państwo bogate i zacne; shołdował Prusów; starł Niemce i Sasy; podbił Czechy, Morawce, Kaszuby, Pomorzany. Więcej bitew wygrał, niźli drugi o nich czytał. Rząd sprawny, mocny, sprawiedliwy w kraju utrzymywał, przez co miłość poddanych zjednał. Zakwitał naród polski czasu jego w sławę i cnotę.

Otóż, za panowania tego monarchy, w północnych Czechach, na pograniczu polskiem, posiadał ród potężny Sławników włości rozległe, ze stołecznym grodem Lubicz, przy ujściu Cydliny do Łaby położonym. Był to czas, kiedy wzrosła olbrzymio przewaga panów czeskich, a to kosztem władzy naczelnej, książęcej. Panowie owi władali w swoich dobrach bez ograniczenia, bez zwracania uwagi na monarchów swoich. Władza taka doprowadziła ich do swywoli, w której tak zasmakowali, że, jak mówi dziejopis ówczesny: „nienawidzili Boga, dopuszczali się srogich zbrodni i nieprawości.“ Zepsucie trwało oddawna, więc rozkrzewiło się nad wyraz. Możnowładcy byli „niegodziwymi ojcami i najniegodziwszymi synami“. Książę od nich zależał, z nimi się na każdym kroku liczyć musiał.

Sławnikowie stanowili pomiędzy nimi wyjątek. Możniejszego, dostojniejszego, a przytem zacniejszego rodu nie było nad ten w Czechach. Naczelnik tego rodu nosił tytuł komesa (hrabiego), spokrewniony był z wielu cudzoziemskimi książęty; małżonka jego, Strzeżysława, pochodziła także z rodu wielkiego, bo książętom czeskim, Bolesławowi i Wacławowi, panującym w Pradze, wypadała siostrą. Oboje nietylko w świecie przez urodzenie i bogactwa słynęli, ale także zasługi mieli u Boga, wskutek niepospolitej świętobliwości. „Albowiem Sławnik, między rozkoszami świata, był wiernym stróżem prawa Bożego, pilnie chował roz-

kazy kapłańskie, miłował go lud, a osobliwie ubodzy, dla których serce ojcowskie żywił. Cnoty jego Bóg tym kształtem oświadczył i rozgłosił, że przez wiele lat z grobu jego zapach różany się unosił. Strzeżysława także świętą była w obyczajach, skromną w rozmowach, trwałą w postach, pokorną z Bogiem na modlitwie, matką skwierczących (jęczących) sierot, pielgrzymów i wdów najmilszą siostrą.“

Ci tedy bogobojni, miłosierni, pełni cnót chrześcijańskich małżonkowie, mieli sześciu synów, w których nadzieje utrwalenia świetności rodowej pokładali. Najstarszym był Sobiebor; po nim szli kolejno: Spicymir, Pobrasław, Poraj, Czesław i najmłodszy — Wojciech. Wszystkich wychowywali w bojaźni Bożej, bardzo starannie, do rycerskiego ich sposobiąc zawodu. Nie przeczuwali, że ów najmłodszy syn, dziecię śliczne i na podziw pojętne, inny zawód obierze: będzie wielkim biskupem, apostołem, męczennikiem za wiarę. Że nie przeczuwali tego, świadczy o tem imię, które mu nadali. Rozpatrując bowiem to imię, badając jego znaczenie, widzimy, iż miał on wojów, to jest — wojowników, rycerzy, cieszyć. Tymczasem Wojciech stał się pociechą, sławą rycerstwa, ale Chrystusowego. Bowiem dziecię to zapadło na ciężką chorobę i tak już było blizkiem śmierci, że je bogomyślni rodzice poświęcili uroczyście zawodowi duchownemu, gdyby wyzdrowiało. Pisze o tem zakonnik pewien, reguły Ś-go Benedykta, który żył spółcześnie z Wojciechem.

Wojciech, sława i światłość wielkich narodów, czeskiego, polskiego, węgierskiego, przenajchwalebniejszy mąż, kapłan i męczennik Chrystusów, będąc niemowlęciem, zachorzał i żałość niemałą rodzicom uczynił, którzy pragnieniem zdrowia jego ściśnieni (pobudzeni), pociechy swej doczesnej w nim odstąpili, a Panu Bogu go poślubili, woląc raczej żywym go między sługami kościelnymi widzieć, niż na smętną śmierć jego patrzeć. I nieśli go, na poły umarłego, do ołtarza Przeczystej Matki Bożej Maryi, prosząc, aby Ona na służbę Synowi Swemu nowego a maluczkiego sługę przyjęła, a zdrowie mu do tego zjednała. Nie mieszkając, dzieciątko ozdrowiało. Anielska Cesarzowa. świętą przyczyną Swoją i cudem onym, naznaczyła sługą Wojciecha Panu Bogu.

Matka dziecię uzdrowione sama zaczęła uczyć Psałterza, a gdy podrosło, po naradzie z małżonkiem, oddała go na naukę kapłanom, przydając mu sługę, którego Wojciech bardzo lubił. Sługa, snać niestateczny i niewdzięczny, uciekł od powierzonego jego opiece chłopca, Wojciech zaś, tęskniąc za nim, do domu rodziców pomknął, sądząc, że go tam znajdzie. Ojciec surowo skarcił Wojciecha za samowolę, rózgami go oćwiczył i znów do szkoły oddał. Teraz Wojciech pilnie się do nauki przykładał, a rodzice widząc, że posiada zdolności nadzwyczajne, oddali go na dwór arcybiskupa magdeburskiego Adalberta, który nie-

gdyś apostołował w stronach krakowskich, aby tam, w słynnej szkole Otryka, wyższe wiadomości czerpał. Stało się to roku 972.

Mistrz Otryk był doskonałym nauczycielem, mnóstwo już młodzieży na kapłanów wykształcił, — ale ostry i prędki, do tego żądny sławy i znaczenia, zasługujący się cesarzowi, tak zrażał uczniów swoich, że wielu wolało klasztor opuścić, niż wytrwać w szkole. Upominał go o to arcybiskup, a ponieważ przypuszczano, iż Otryk będzie jego następcą, tedy arcypasterz frasował się i wciąż powtarzał, iż stać się to nie może żadną miarą i nawet gorąco się modlił, żeby Bóg nie dopuścił na godność wysoką człeka tak niepohamowanego w porywach, jak Otryk. W twardym rygorze przeto sposobił się Wojciech do przyszłego apostolstwa. Arcybiskup polubił go, bo widział, że młodzian pilnie do nauk się przykładał, a czas wolny spędzał na grobach Ś-ych Męczenników lub w kościele, często noc całą trwając na pobożnych pieniach i modlitwach. Skromnym był, potulnym, unikał pochwał świata, chorych i cierpiących nawiedzał, nędzarzy jałmużną wspomagał. Dla arcybiskupa wdzięczne okazywał serce. Już wtedy o nim mówiono:

— Na tym młodzieńcu błogosławieństwo Boże spoczywa.

Arcybiskup sam wyświęcił Wojciecha na kapłana, wówczas też dał mu swoje imię Adalberta.

W roku 981 arcybiskup umarł. Wojciech, opłakawszy śmierć jego, wrócił do Czech i przy biskupie praskim, Detmarze, zostawał. Gorliwością w służbie Bożej i życiem wzorowem zjednał sobie przyjaciół, a między innymi księcia Bolesława, panującego w Czechach. W tym czasie cios za ciosem uderzał w młode serce Wojciecha, zwracając je coraz bardziej do Boga. Stracił ojca, a potem patrzył na śmierć biskupa Detmara, który umierając, boleśnie narzekał, że mało zapracował sobie w Winnicy Pańskiej, bo nie nakłonił Czechów do życia więcej chrześcijańskiego. Żałosne jęki umierającego wywarły na Wojciechu wrażenie potężne. Znalazł po śmierci biskupa pociechę i umocnienie w Radimie, bracie swoim młodszym, który znacznie później na świat przyszedł, a którego Wojciech, w Pradze bawiąc, ćwiczyć zaczął w naukach duchownych i do stanu kapłańskiego zaprawiać.

Ks. Skarga nadmienia, że Wojciech, wróciwszy z Magdeburga do Czech, ciężkie pokusy przechodził. Pisze o tem tak: Dziewięć lat na nauce w Magedeburgu spędziwszy, stał się z Wojciecha uczony człowiek w każdej nauce, iż mało sobie równych towarzyszów w tej mierze miał. I wrócił się po skończonych naukach do domu ojca swojego, gdzie go młodość i krew bujna uwiodła. Bo gdy się z pracy szkolnej wyprzągł, a próżnowania sobie dopuścił, za światem się i jego marnościami udał: na Pana Boga mało wspomnieć, rozkoszy marnej kosztować, z rówienniki biesiad używać i inne pochlebstwa a zwodzenia świata te-

go przyjmować począł. Niedługo w takim stanie nieprawej drogi trwał. Pan Bóg upomniał go śmiercią biskupa praskiego Detmara, przy której był obecnym. On Detmar, konając, straszliwie wołał, iż go czarni czarci do piekła wloką. Wielki to gwóźdź w serce Wojciecha wbiło, iż o poprawie żywota swojego i drogach Bożych, któremi pierwej chodził, skutecznie myśleć zaczął, nie omieszkując, skrócił obyczaje swoje i w klubę je bogobojności wprawił.

Po śmierci Detmara, która w r. 982 nastąpiła, książę czeski Bolesław i władykowie (to jest—najznaczniejsi panowie) wybrali Wojciecha, zaledwie trzydzieści dwa lata mającego, na biskupstwo praskie. Uląkł się Wojciech wielkiego brzemienia. Przypomniał sobie wielkie zepsucie ludu czeskiego, stał mu też na oczach ciągle Detmar, którego „czarne duchy rwały do piekła", za nieskuteczne pasterstwo. Odpowiedzialność bowiem pasterska była wielka wszędzie, a szczególniej w dotkniętych upadkiem obyczajów Czechach. Tedy nie przed walką chwiał się Wojciech, był on gotów poświęcić się Kościołowi, dla drogiej sercu po winności, ale kto go mógł zapewnić, że w pracy nie omdleje, że nieumiejętnością, nieudolnością swoją, brakiem potrzebnej nauki i mocy ducha (bowiem dalekim będąc od zarozumiałości, mało o sobie trzymał) — nie narazi zbawienia owieczek?

Tak rozumowali wszyscy święci biskupi i nauczyciele ludu zanim dostojeństwo pasterskie odważali się wziąć na barki; tak też rozważał Wojciech. Miał po temu słuszne powody, bo w Czechach rozpasanie namiętności było powszechne. Sprośność, kradzież, wszelka zresztą ohyda weszła w zwyczaj. Waśni w rodzinach doprowadzały do straszliwego zgorszenia, do zabójstw. Ci żenili się z powinowatemi, tamci po kilka żon miewali. Dni świętych nieszanowano, w post oddawano się rozkoszom, czeladkę chrześcijańską sprzedawano Żydom. Nawet duchowieństwo wyłamało się z karbów, gdyż nie znało dokładnie prawd religijnych i dogmatów. Wśród takich przeciwności wola bodaj niepospolicie wielka złamać się może. Tedy słusznie frasował się Wojciech. Dodać trzeba, iż przewidywał, jako wyniesienie jego na wysoką dostojność obudzi zazdrość wśród czeskich rodów możnowładczych, które na wzrost potęgi Sławników oddawna niechętnem patrzyli okiem. Zwłaszcza zawidzili świetności imienia i bogactwom Sławników Werszowcy, także ród starodawny, magnacki, wielkie wśród Czechów zachowanie mający. I o tem pamiętał Wojciech, i ten wzgląd brał pod rozwagę. Aliści uległ namowom księcia Bolesława i władyków, a raczej uległ woli Bożej — przyjął ofiarowaną godność.

Pół roku jednak musiał czekać na utwierdzenie go w dostojeństwie biskupiem. Utwierdzenie takie (inwestyturę) tylko cesarz niemiecki, któremu Czechy hołdowały wówczas, mógł udzielić, a cesarz prowadził

wtedy we Włoszech północnych wojnę z Saracenami. Uspokoiwszy się, zwołał sejm do Werony. Tam się stawił Wojciech, tam otrzymał pastorał i pierścień biskupi. Niezwłocznie potem udał się do Moguncyi, gdzie go miał konsekrować metropolita Pragi, arcybiskup Willigis. Ten obrząd uroczysty odbył się 29 czerwca 983 r., w dzień Apostołów Ś-ych Piotra i Pawła. Po konsekracyi wrócił Wojciech do Pragi boso, a lud witał go z upojeniem radości, tłumami cisnąc się na jego drodze. Opowiada wspomniany wyżej mnich benedyktyński, że przy wyborze Wojciecha na biskupa, klerycy słyszeli głos czarta, wyrzekającego:

— Biada mi! — już się tu, w Pradze, zostać nie mogę, bo dziś obran jest biskup, sługa Chrystusów, którego bać się muszę!

Słyszał to również Willigis, kapłan mądry i bogobojny, a słyszane zeznał przed opatem klasztoru słynnego na górze Kassyńskiej, we Włoszech.

W Pradze Wojciech zabrał się żarliwie do pracy. Wrzał w nim niepokój, który dobrze odpowiadał ogólnemu wówczas w całej Europie usposobieniu umysłów. Dawne głosiły przepowiednie, że świat się skończy w roku tysiącznym ery chrześcijańskiej. Termin ten się zbliżał, sprowadzając na ludzi trwogę. Odbywali pielgrzymki do miejsc cudownych, do Stolicy Apostolskiej, wreszcie bieżali do Ziemi Świętej. Wojciech całą duszą poświęcił się apostolstwu. Uczył, przestrzegał, podróżował. Naprzód odwiedził owieczki swoje, w Panonii mieszkające, w krainie na południu od Karpat położonej, zostającej pod panowaniem Węgrów, a mianowicie pod rządami ich króla Gejzy. Wtedy też zapewne zwiedził strony krakowskie, bo dyecezya jego praska aż w te ziemie się rozciągała. Istnieją w Krakowskiem podania o tem, a nawet lud dziś jeszcze ukazuje miejsce, z którego ongi kazał Wojciech.

W podróży apostolskiej chrzcił Wojciech mnóstwo ludu. Szczególnie obfite żniwo miał w kraju Gejzy, gdzie królowa, z polskiego rodu, Białą-knehinią zwana, wszystko, co do małżonka należało, swoją sprawiała dłonią. Wówczas to ochrzcił Wojciech syna Gejzy, młodego Stefana, a obrządku dokonał w Granie, czyli w Ostrzyhomiu, stolicy Węgier. Pomagał Wojciechowi w pracy apostolskiej dawny jego nauczyciel — Radło.

W Czechach szło Wojciechowi bardzo ciężko. Dawał wszystkim wzniosły przykład zaparcia się, usunął od siebie wszelkie ponęty światowe, dochody na cztery podzielił części, z których jedną przeznaczył dla kapłanów i kleryków, drugą na ubogich, trzecią dla kościoły i wykupno niewolników, a ledwie czwartą na swoje utrzymanie. Zawsze pokorny i pobożny, tylko świętą prawdę miał na ustach, przestawał na twardem łożu, na skąpej strawie, na chwilce snu. Posłuchajmy, co

o jego życiu w tym czasie mówią dawni pisarze kościelni. Jeden nadmienia:

Prowadził dni świętobliwe, bogactwy gardził, złoto sobie za błoto miał, rozkosze, do piekła prowadzące, zdeptał. To jedyne jego pragnienie i staranie było, aby o Chrystusie myśląc, nic sobie innego nie smakował, niczegoż innego nie szukał. Posty gęstemi i wielkiemi trapił członki swoje, a modlitwa była mu chlebem powszednim, w której się ustawicznie, za swoje i ludzkie grzechy, Panu Bogu strudzonem sercem korzył. Wszystką się siłą starał, żeby złe namiętności i pokusy świeckie z serca swego wykorzenić. Znał się też na zastrzałach szatańskich i umiał z niemi wojnę wieść, a korzyści cnót świętych z pokus dostawać. Tyle mu (szatanowi) policzków dawał, ilekroć albo jawne podszczenia jego zwyciężał, albo tajemnym mądrze zabieżyć umiał. Serce wolne od myśli świeckich chowając, na skrzydłach je rozmyślania nabożnego w niebo podnosił, i jako uczył, tak żył, iż mu nikt rzec nie mógł:

— Przyjacielu, ulecz sam pierwej siebie.

W tem tylko nieszczęśliwy był, iż czujność około owiec swoich wielką mając, mało im pomagał, bo na złą i zepsowaną rolę trafił. Ludzie w zbytki wielkie i rozpustność się wdawali, brać wiele żon, niewolniki chrześcijańskie i dzieci swoje Żydom przedawać śmieli; święta gwałcić, postów nie chować, nikogo nie słuchać — to ich obyczaje były.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy, wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

Chiny.

Światło chrześcijańskie zabłysło w Chinach w VII wieku po Narodzeniu Chrystusa Pana, Ś-ty Franciszek Ksawery, ten niezrównany bohater misyjny, zapaliwszy ogień miłości Chrystusowej w sercach tysięcy pogan azyatyckich, marzył przy schyłku swego życia o nawróceniu Chińczyków, rzuceniu pośród milionów tego ludu ziarna Ewangelii i stawiania kościołów na cześć prawdziwego Boga tam, gdzie europejczycy-handlarze starali się zakładać jedynie swoje magazyny kupieckie.

Ale apostołowi temu nie danem było spełnić, czego tak gorąco pragnął, umarł w roku 1552 na wyspie Sancyan, tuż w pobliżu pobrzeża chińskiego, wskazując drogę braciom-misyonarzom w stronę Pekinu i Kantonu.

Ci podążyli wkrótce w ślady Świętego męża, a najznakomitszy z pośród nich, O. Maciej Ricci, matematyk wielkiej nauki, osiedlił się w Pekinie i wśród uczonych chińskich i mandarynów zajął wybitne stanowisko.

Po niejakim czasie miał już O. Ricci pewną liczbę katechumenów, zaś w roku 1600 udało mu się za pomocą cennych darów zjednać sobie cesarza chińskiego, który pozwolił na przebywanie misyonarza wśród swego otoczenia dworskiego.



Chiny. Wjazd biskupa Hamera, wikaryusza apostolskiego z Kan-su do Kan-czau w r. 1863.

Wówczas O. Ricci mógł już głosić słowo Boże wśród ludu chińskiego. Wielu dostojników przyjęło niebawem wiarę Crystusową, a pomiędzy nimi Paweł Siu, pierwszy minister dworu chińskiego. Ten wkrótce został najgorliwszym krzewicielem Ewangielii. Córka jego Candida oddała cały swój majątek na budowę kościołów w Chinach. Za możnymi poszedł lud, wiara prawdziwa zyskiwała z dnia na dzień nowych wyznawców.

Ale jak w Japonii, tak i w Chinach, wkrótce zerwało się okrutne prześladowanie przeciw chrześcijanom. Tortury i krwawe egzekucye pozbawiały życia co najdzielniejszych z pośród chrześcijan chińskich. Pomimo tego, raz zapalone światło wiary nie gasło, lecz coraz to szersze obejmowało kręgi na Wschodzie azyatyckim.

Wydarzały się też wśród długich lat prześladowań krwawych chwile bardzo świetne dla chrześcijaństwa. Zdawało się, że chińskie pogaństwo, na chwilę pozbywszy się szatańskiej ciemności, wysila się na złożenie hołdu publicznego przedstawicielom kościoła, a w nich samemu Chrystusowi. Do takich chwil szczęśliwych zaliczyć należy wjazd biskupa Hamera w r. 1863 do Kan-czau, dla dokonania konsekracyi nowego kościoła. Honorowa straż, złożona z jeźdźców chińskich, wyruszyła na spotkanie dostojnika Kościoła o dwie mile drogi, i z wszelkiemi oznakami czci, jaką się zwykło oddawać tylko panującym, towarzyszyła mu aż do miasta. Tu czekały na biskupa tłumy ludu, a na ich czele nawet naczelnicy władz chińskich. Dźwięki muzyki rozlegały się po mieście, liczne bandery i chorągiewki powiewały w powietrzu. Konsekracya nowej świątyni odbyła się jak najwspanialej wobec tłumów zebranego ludu.

Atoli te świetne chwile dla kościoła rzymsko-katolickiego przyćmiewają krwawe prześladowania w innych prowincyach chińskich. Niema roku, aby fanatyzm pogański, barbarzyński, dziki, krwawy, nie czynił spustoszeń wśród szeregów wiernych wyznawców Chrystusa, aby przesądy ciemnej dziczy chińskiej nie zabierały tysiącznych ofiar. Jednym z wielu oburzających każde serce chrześcijańskie zwyczajów wśród motłochu chińskiego jest topienie lub porzucanie wśród trzęsawisk chorych dzieci. Wywożą te chore biedactwa i porzucają na pastwę zimna, głodu i dzikich zwierząt, zamiast leczyć, otoczyć opieką. Misyonarze walczą z tym zbrodniczym, wołającym o pomstę do Boga postępowaniem pogan, ale siły ich są jeszcze za małe, aby skutecznie walczyć z ciemnotą i barbarzyństwem.

Dla przykładu przytoczymy opis nawrócenia się i męczeństwa jednego z młodych chrześcijan chińskich, opis wierny, przez księdza misyonarza podany.

Da nam on wyobrażenie, co znosić muszą w imię Chrystusa bojownicy prawdziwego światła wśród dziczy chińskiej.

Z pomiędzy wszystkich rodzin z okolicy Po-hii, — pisze misyonarz — najwięcej nieprzyjaźnie usposobioną dla religii katolickiej jest bez wątpienia rodzina Szung (dzwon), licząca tysiące osób rozproszonych w trzydziestu wioskach. W czasie zaburzeń r. 1884 we wrześniu, ona sama dostarczyła kilkuset oprawców. W liczbie tej znajdował się pewien człowiek z wioski Pak-hang-Tong imieniem Szung-Toi-wong, cieśla. Z wyprawy tej przyniósł ze sobą sporą ilość książek religijnych, które wtedy bardzo mało sobie cenił. Bezustanku dręczony wyrzutami sumienia, które mu sen odbierały, udał się do pewnego chrześcijanina z wioski Lang-neu-tong, który go zapewnił, iż go wyleczy pod tym jednak warunkiem, że zostanie katolikiem.

Dawny oprawca chrześcijan zgodził się natychmiast na tę propozycyę i wróciwszy do domu, zaczął z wszelką pilnością czytać skradzione książki i te, których mu dostarczał jego chrześcijański doradca.

Czytania te doprowadziły go do poznania wiary i nauczyły modlitwy. Od dnia, w którym począł się modlić, wyrzuty sumienia zaczęły ustawać. Gdy 30 sierpnia 1885 r. powróciłem do Ko-szo, przybył natychmiast prosić mnie, abym go przyjął do grona mych katechumenów i od tej pory nie opuścił żadnego ćwiczenia religijnego, praktykowanego w małem naszem zgromadzeniu chrześcijańskiem.

Tytuł katechumena miał mu sprowadzić wiele przykrości. Rodzina jego szczyciła się, iż żaden z jej członków nie jest chrześcijaninem. Ale gdy ciągłe jego wycieczki do nas, misyonarzy, zwróciły uwagę jego krewnych, powstali wszyscy przeciw niemu, wołając z oburzeniem:

— Po co on ciągle chodzi do księży?... Nie było jeszcze żadnego chrześcijanina nazwiskiem Szung!

A Toi-wong na wszystko odpowiadał:

— Chodzę do księży, bo ich modlitwa wraca mi spokój. A więc nie przestanę się modlić do Boga chrześcijan, a jeźli śmierć mi przeznaczona, to wolę umrzeć, jako chrześcijanin i dostać się do nieba, aniżeli zasłużyć na piekło.

Dnia 15 sierpnia 1886 r. ochrzciłem go i dałem mu na Chrzcie imię Wawrzyńca. Dzień ten był dla niego dniem radości i wesela. Od tej pory, tak jak i dawniej, pomimo, iż mieszkał o dwa przeszło kilometry od nas, najpierwszym był zawsze w kaplicy. — Przychodził zwykle z brzaskiem dnia. Zdawaćby się mogło, że niedziela nie dość wcześnie się poczyna dla niego. Twarz jego promieniała radością, a modlitwa była dla niego rzeczywistą ucztą „wezwanych", według słów Pisma Świętego. W przeciągu tygodnia powtarzał główniejsze artykuły wiary, chcąc je lepiej poznać.

Tymczasem rodzina coraz złośliwszem okiem patrzała na niego. Złych zamiarów swych nie doprowadzała do skutku jedynie z obawy wytoczenia sprawy przed mandarynami; nie opuszczała jednak żadnej sposobności, aby mu swój gniew okazać. W grudniu odebrano mu wydzierżawioną ziemię, nie zwracając kaucyi, jaką tu każdy dzierżawca obowiązany złożyć.

W miesiącu kwietniu uknuty został spisek, który miał zakończyć się jego śmiercią.

W owym czasie nienawiść wicekróla Kantonu do chrześcijan nie była dla nikogo tajemnicą. Ludziom, noszącym nazwisko Szung, zdawało się, iż mogą się na zawsze odważyć. Postanowiono zatem, że Wawrzyniec zostanie schwytanym, zaprowadzonym do pagody swych przodków i w przytomności wszystkich swych krewnych wezwanym do wyrzeczenia się Chrystusa, gdyby zaś nie przystał na to, miał być zamkniętym do klatki i utopionym.

Miano jednak nadzieję, iż nie będą potrzebowali uciekać się do tej ostateczności, albowiem kilka lat temu poganin, nazwiskiem Szung, który okazywał chęć nawrócenia się, ustąpił przed pogróżkami, a więc i Toiwong ustąpi.

Wszystko to odbywało się w jak największej tajemnicy. Wawrzyniec jednak dowiedział się o tem i po kilka razy powtarzał swym krewnym:

— Gdy będziecie już mieli uskutecznić wasze zamiary, uprzedźcie mnie, abym się mógł wyspowiadać, a przez to tem pewniej do nieba się dostać.

Dnia 15 maja, w wigilią Wniebowstąpienia Pańskiego, przyszedł do kaplicy wyspowiadać się.

Nie było mnie wówczas, więc Chińczyk pewien, mój sąsiad, powiedział mu, iż mnie niema, i że musi na mój powrót czekać do Zielonych Świętek. Nie nalegał dłużej, lecz na odchodnem rzekł:

— A jednak pragnąłbym bardzo wyspowiadać się, bo muszę być na wszystko przygotowanym. — Umrę w końcu miesiąca maja lub w początkach czerwca, najpóźniej zaś w ciągu miesiąca lipca.

Przewidywania jego miały się sprawdzić.

W Chinach istnieje zwyczaj corocznego rozdzielania pieniędzy każdej rodzinie z dochodów pagody przodków. Rodzina Szung miała otrzymać pieniądze na początku czerwca; postanowiono więc, że Wawrzyniec swej cząstki nie dostanie, a upomnienie się jego będzie sposobnością do pochwycenia go.

W dzień targowy w Po-hii, dnia 10 czerwca, radny miasta Szung-Hi-Szang ze wsi On-Tong, niedaleko Meng-Szui, spodziewając się wizyty Wawrzyńca, zawezwał do siebie pięciu czy też sześciu ludzi, znanych ze swej siły, a których przedtem należycie utraktował. Starszy

brat Wawrzyńca, wiedząc o wszystkiem przez swych przyjaciół, prosił go, aby pozostał u niego.

— Ba!—odpowiedział Wawrzyniec,—jeżeli już zawyrokowali, że mam umrzeć, to nie umknę ich rąk. Lepiej więc niech się to dziś stanie.

Udał się do sklepu, w którym Szung-Hi-Szang zwykle przebywał. Zaledwie upomniał się o swą należność, gdy Hi-Szang rozkazał go pochwycić. Kaci, będący w pobliżu, rzucili się na niego, bijąc go nielitościwie po głowie, piersiach i po całem ciele.

— Wyrzeknij się chrześcijańskiej religii! — wrzasnął Hi-Szang, bijąc go po głowie swoją chińską fajką, istną maczugą;—wtedy otrzymasz należną ci cząstkę.

— To jest niemożliwe, — odpowiedział Wawrzyniec, — a jeśli nie dacie tego, co mi się słusznie należy, to obejdę się.

Zwracając się do kilku starców przytomnych tej scenie, rzekł:

— W rodzinie naszej są osoby, które splamiły nasze nazwisko postępowaniem swojem, tym nie odmawiają ich cząstki. Dlaczegóż mnie jej odmawiacie? Nigdy nie kradłem, zawsze uczciwie postępowałem. Jestem chrześcijaninem — to prawda, lecz żadne prawo tego nikomu nie zabrania.

W ciągu całej tej sceny Wawrzyniec stał nieporuszony, choćby dzielnie się mógł bronić, gdyż na sile mu nie zbywało. Nazajutrz, wspominając o tem, rzekł:

— Wielką miałem ochotę do bicia, lecz przypomniawszy sobie przykazania Boże, dałem pokój.

Poganie z podziwem zauważyli, iż ani razu nie krzyknął, ani się też nie poskarżył. Następnie skrępowano mu ręce, jakby jakiemu zbrodniarzowi i wypchnięto go na ulicę, aby go ponownie bić. Brat jego przyszedł wstawić się za nim, Hi-Szang kazał mu przyrzec, iż nazajutrz przyprowadzi Wawrzyńca do pagody jego przodków, gdzie rodzina jego miała się zgromadzić, by go osądzić; następnie pozwolił odprowadzić go tymczasowo do domu. Lecz neofita nasz inaczej się na to zapatrywał.

— Przyprowadziliście mnie do tego stanu, iż nigdy już nie wyzdrowieję. Cóż będę robił u siebie? Do was należy uzdrowić mnie lub też śmierć mi zadać. Pragnę, aby zaraz dziś wieczorem zaprowadzono mnie do pagody.

Hi-Szang zgodził się na to, a na towarzysza wybrał jednego z tych włóczęgów, którzy za pieniądze podejmowali się każdej czynności.

Wychodząc z ulicy, trzeba przejść przez kamienne schody, liczące przeszło dwadzieścia stopni, a łączące się z małym mostkiem, służącym do przejścia przez rzekę. Wawrzyniec, który szedł ze związanemi rękami i z głową w tył odrzuconą, nie dostrzegł ich i spadł z góry na dół, nie mogąc się zatrzymać, ani też osłabić upadku. Na moście, utwo-

rzonym z dwóch desek obok siebie leżących, źle stąpił i straciwszy równowagę, wpadł do rzeki. Przewodnik jego z prawdziwą i dziką radością przypatrywał się szamotaniu się jego w wodzie, zanim mu dopomógł powstać.

Raczej do zmarłego niż żywego podobny z twarzą i twarzą i ciałem strasznie obrzmiałem, wlókł się Wawrzyniec drogą wiodącą z Pohii do pagody w Ma-po, leżącej o dwa kilometry poniżej Long-wo. Około wioski Szik-polu dostrzegł chrześcijanina, pracującego ponad drogą i przemówił do niego.

— Toi-wong — odrzekł mu na to chrześcijanin, — pamiętaj na Pana naszego Jezusa Chrystusa.

— Pamiętam o tem, — odpowiedział Wawrzyniec; — powiedz Ojcu i braciom moim, aby się nie obawiali; jestem i pozostanę chrześcijaninem.

Nieco dalej spotkał syna swej siostry, również chrześcijanina.

— Idź powiedz mej żonie, — zalecił mu, — niech z mej przyczyny się nie martwi; niech uprawia swe pola i dobrze wychowuje dzieci.

Nie wiedząc nic o spisku i nie przypuszczając nawet, iż posuną się względem niego do ostateczności, posłałem dnia 11 czerwca z brzaskiem dnia tegoż samego siostrzeńca, by wywiedział się od niego, czego się nadal trzymać mamy.

— Czy to ojciec duchowny cię przysłał? — zapytał Wawrzyniec.

— Tak, — odparł siostrzeniec, — pragnie wiedzieć, jak się masz i zaleca ci, abyś jak najwięcej się modlił.

— Całą noc ubiegłą przetrwałem na modlitwie. Cierpienie nie dozwoliło mi oka zmrużyć. W ostatniej chwili nie będę w stanie utrzymać się na nogach; jeśliby mnie nawet uwolnili, umrę z powodu zadanych mi ran.

Dowiedziałem się, że gdy przybył do pagody, dano mu mięsa, jarzyn i wina. Mięsa jeść nie chciał, a gdy nań nalegali, odpowiedział:

— Dziś jest u nas post, gdyby tu i cały wół leżał, nie tknąłbym go!

Zjadł natomiast jarzyny i wypił nieco wina.

— Męczarnie moje nie skończyły się jeszcze,—mówił dalej; — trzeba mi sił nabrać, aby wytrwać do końca. Jeślibym stracił przytomność, powiedzianoby, że mi brak odwagi... Na tym tu świecie, — dodał, — wielu jest ludzi cieszących się sławą... I złodzieje nawet mają swoją. Co do mnie, wolę ja wsławić się śmiercią za świętą wiarę. Sława ta jednak byłaby niczem, gdyby nie czekała mnie za to wieczna nagroda w raju.

Żal ściskał jego serce, gdy wspomniał na to, jak się z nim obchodzono.

— Po co mnie ci nędznicy do takiego stanu doprowadzili!

Słowa te jednak wypowiedział bez najmniejszego odcienia gniewu.

Siostrzeniec opuścił uwięzionego, gdy tenże zabierał się do posiłku. Tak samo i dla tychże powodów, co dnia poprzedniego, odmówił przyjęcia wieprzowiny, zadawalniając się jarzynami, które zjadł bez najmniejszego apetytu i popił czarką wina; podczas tego młoda jego żona wraz z dziećmi siedziała przy jego macie. Przywołał dzieci i żonę do siebie i z całym spokojem dał im potrzebne objaśnienia: powiedział, ile mu kto winien, wyliczył wszystkie małe swe dłużki, wręczył im swą kieskę i kazał się oddalić.

Wtedy nastąpił rozdzierający serce widok.

Jego dziatki maleńkie i żona nie chciały się oddalić, tarzały się koło maty, jęcząc boleśnie i krzycząc, aby się nad nimi ulitował.

Na to Wawrzyniec:

— Powróćcie do domu! — prosił. — Zaledwie kilka chwil życia mi pozostaje, muszę je spędzić na modlitwie.

Wszystko to wypowiedział tonem szorstkim, niezawodnie dla pokrycia wzruszenia; był bowiem dobrym ojcem. Na widok tego, poganie, którzy go tak nielitościwie poranili, zgorszyli się bardzo, że tak mało serca najbliższej okazał rodzinie.

Była godzina dziesiąta z rana. Tłum prześladowców, po odbytem śniadaniu w Po-hii, przybywa do pagody. Klatka, w ktorej miano go zamknąć i wrzucić do wody, była już gotowa. Zamówiono ją wcześnie i zapłacono za nią 200 sapeków (mała chińska moneta). Dowódcą katów był wojskowy bakałarz, siostrzeniec Szung-Hi-Szanga, pochodzący również z wioski U-Tong. On to, nachyliwszy się nad matą i trzymając w ręku trzewik, którym zamierzał Wawrzyńca uderzyć, krzyknął:

— Czy wyrzekasz się chrześcijańskiej religii?

— Nie! — odpowiedział Wawrzyniec, — nie wyrzeknę się jej nigdy.

— Musisz się jej wyrzec!—wykrzyknął z wściekłością, bijąc go po twarzy, — w przeciwnym razie utopię cię!

— Im wcześniej, tem lepiej. Im prędzej mnie utopicie, tem prędzej dostanę się do nieba.

— Musisz oddać cześć naszym bogom!

— Szanuję mych przodków, lecz nie mam najmniejszej czci dla waszych kawałków drzewa.

— Będziesz jednak musiał paść na kolana przed nimi!

Poczem podnoszą go, wloką przed ołtarz, gdzie ustawione są bałwany, chcąc go zmusić do ugięcia kolan; lecz Wawrzyniec pomimo okropnego bólu, wywołanego oporem, nie pozwala zgiąć swych kolan.



Chore dzieci chińskie, które wywożą za miasto, aby porzucić na pastwę losu

— Ugiąć kolano przed Bogiem w tej chwili jestem gotów, lecz przed waszemi bałwanami nigdy tego nie uczynię. Zbyt drogo opłacałem się dawniej dyabłu, odtąd niech się ode mnie niczego nie spodziewa.

Odpowiedzią na to były gęste razy prześladowców. Pa-Szun, siostrzeniec Hi-Szunga, rozwścieklony, kopał go nogą w bok. Wawrzyniec ani na chwilę nie utracił zimnej krwi. Na każde pytanie odpowiadał najzwyklejszym tonem, niekiedy ze szczyptą ironii; ale odpowiedzi swe przerywał żałosnemi jękami, które wywoływał straszny ból przy każdem poruszeniu.

— Jest przeszło cztery tysiące osób, noszących nazwisko Szung, mnie jednak najlepszy los przypadł w udziale.

— Jakimże to sposobem?

— Bo ja dostanę się do nieba, gdy tymczasem wy po śmierci pójdziecie do piekła.

Gdy po godzinnych torturach odrowadzono go na matę, straszny przedstawiał widok; niepodobnym był prawie do człowieka. Z opuchłego ciała zwieszały się całe kawałki skóry, prawa ręka zwisła bezwładnie, a kilka żeber miał złamanych.

Złość ustępuje miejsca chytrości; kaci przemieniają się w fałszywych przyjaciół, którzy zaczynają go zaklinać, aby choć słówko przemówił.

— Wyznaj, że już nie czcisz Pana niebios, a przebaczymy ci. Zgadzamy się nawet dać ci tysiąc sapeków.

— Nigdy! — odparł Wawrzyniec.

Żona jego przyłączyła się do tych fałszywych przyjaciół, lecz nie wzruszyło go to bynajmniej. W rękach swych ściskał medalik Najświętszej Panny, otrzymany w darze na Chrzcie świętym.

— Gdyby mu go zabrano, — odezwał się ktoś, — zdołanoby go pewnie zmusić do ustąpienia.

— Spróbuj, — odparł drugi; — raczej umrze, aniżeli go opuści!

Dano mu chwilkę spoczynku; skorzystał z niej, aby powrócić do swych modlitw, które już bez przerwy odmawiał.

Tymczasem żona jego, poganka jeszcze, przybiegła do misyi.

— Ojcze!—jęczała u nóg przełożonego misyonarzy,—wymagają od niego jednego słówka. Każ mu je wypowiedzieć, ciebie jednego on słucha.

A gdy jej przekładałem, że to jest niepodobieństwem, zakrzyknęła:

— To ty go skłoniłeś, aby został chrześcijaninem. Jeśli on umrze, to na tobie zaciąży obowiązek żywienia mnie i moich dzieci.

Wspominany tu obywatel Szung-Hi-Szang był moim starym znajomym; przecież to on w r. 1884, w czasie napadu na nasz kościołek, nie

wstydził się ukraść krzyża z ołtarza. W wigilią napadu odezwał się w Po-hii do jednego z chrześcijan:

— Powiedz ojcu, że sprawa Toi-wong nie tyczy się bynajmniej religii. W każdym razie odwiedzę go w tym interesie, udając się do Ma-pon.

Tegoż samego dnia napisał wprawdzie do mnie list, który jednak mnie nie doszedł.

Posłałem mego katechetę i jednego z chrześcijan, aby zażądali od niego objaśnień. Wysłańcy moi zostali bardzo źle przyjęci; nie wpuszczono ich nawet. Ostatecznie Hi-Szang wyszedł i odpowiedział, iż nie potrzebuję się niczego obawiać, zarzuty bowiem czynione Toi-wongowi nie odnoszą się bynajmniej do religii.

W czasie tym w pagodzie i w około niej znajdowało się kilka tysięcy osób. Kobiety zebrały się tłumnie przed drzwiami, błagając litości.

Dowiedziałem się niedawno, iż przedsięwzięto środki odporne przeciw chrześcijanom, gdyby ci ostatni urządzili napad.

Tymczasem krewni stawali się coraz mniej wymagającymi. Nie chodziło im już o to, aby Wawrzyniec w rzeczywistości opuścił wiarę chrześcijańską, lecz aby tylko w słowach wyrzekł się jej. Nazajutrz mógłby z zupełną swobodą powrócić do kaplicy.

— Gdybym wam i powiedział, że się wyrzekam religii, — rzekł Wawrzyniec, — skłamałbym, a ja kłamać nie będę!

— Wielkie rzeczy—nalegano na niego—jutro będziesz mógł znowu się modlić!

— W istocie?... A czyż wy zgodzilibyście się obejść dzisiaj bez powietrza?

— Nie.

— A więc ja tembardziej nie mogę obejść się bez modlitwy.

— Dlaczego — mówili jeszcze — Wawrzyniec rusza ustawicznie ustami?

— Bo jest waryatem! — odpowiedział jeden.

— Nie, on odmawia swe pacierze! — dodał drugi.

Naczelnicy rodziny, straciwszy już nadzieję zwyciężenia jego oporu, kazali przynieść klatkę. Żona Wawrzyńca pośpieszyła, aby zatrzymać swego męża, lecz obywatel Wong-Tong-po wykrzyczał ją, nie dozwalając się jej zbliżyć.

Wawrzyniec, skoro ujrzał klatkę, ukląkł i zaczął się gorąco modlić. Po skończonej modlitwie położył się i zaczął do klatki się wsuwać. Gdy się już wsunął po ramiona, rzekł do otaczających go:

— Pomóżcie mi, moi drodzy, bo jak widzicie, tak jestem słaby, że nie mogę wejść o własnej sile.

Na te słowa wepchnięto go do niej. Czterech tęgich i silnych drabów podniosło klatkę i zaniosło ją nad brzeg rzeki, której wody dochodziły 50 metrów głębokości.

Było wtedy koło godziny trzeciej. Wargi męczennika, w okropny sposób nabrzmiałe, poruszały się wciąż zwolna, a ręka konwulsyjnie przyciskała do piersi medalik Najświętszej Maryi Panny. Siostrzeniec jego pochylił się nad nim i rzekł doń:

— Mój wuju, czy pamiętasz słowa ojca duchownego?

— Tak! — odpowiedział tenże.

Któryś z pogan zapytał go:

— Czy ojciec duchowny ma ci jeszcze co do dania?

— Nie! — odpowiedział Wawrzyniec. — Gdybym chorował u siebie, udzeliłby mi Ostatnich Sakramentów, tutaj nie ma mi już nic więcej do dania. Wiem, że obecnie modli on się za mnie i to mi najzupełniej wystarcza.

Tymczasem przyjaciele jego ponowili znowu swe nalegania.

— Nigdy — odpowiadał Wawrzyniec — nie wyrzeknę się religii!

A zwracając się do siostrzeńca, pochylonego nad nim, rzekł:

— Gdybym i przystał na wasze nalegania, tobym i tak umrzeć musiał, i w ten sposób utraciłbym życie doczesne i wieczne. Na cóż się więc zdadzą te wszystkie nalegania wasze: popchnijcie mnie raczej nogą i niech się to wszystko już raz zakończy. Bądźcie przekonani, iż się na was za to nie pogniewam, gdyż ochotnem sercem znoszę te cierpienia i jeszcze za was modlić się będę.

Już przeszło godzinę pozostawał w klatce postawionej na brzegu rzeki, jednych krzykami niecierpliwiony, drugich błaganiami martwiony; wreszcie tak się zrywał do korony męczeńskiej, iż mu niebawem zabrakło cierpliwości i jak święty Ignacy męczennik drażnił dzikie zwierzęta, aby go prędzej pożarły, tak i on odezwał się do swych katów:

— Jeżeli naczelnicy mej rodziny nie mają odwagi zakończyć mych mąk, w takim razie nie są ludźmi.

Ale tu przybywa nowy rodzaj przyjaciół. Ci nie namawiają go już do odszczepieństwa, lecz żądają, aby poznał brak szacunku, jakim zawinił względem swych krewnych. Siostrzeniec jego dołączył swe prośby do próśb przyjaciół.

— Jeżeli chcecie, abym się przyznał do tego, żem was obraził,— rzekł Wawrzyniec, — chętnie to uczynię, lecz pod warunkiem, iż o odszczepieństwie mowy już nie będzie, gdyż nigdy się nie wyrzeknę, czy żyjąc, czy umierając, godności chrześcijanina!...

Uniewinnienie jego w tej formie nie zostało przyjęte, rodzina bowiem pragnęła, aby wyrzekł się wiary. Wtedy dwóch z pomiędzy

tych, którzy przyjęli na siebie rolę katów, podniosło klatkę i wrzuciło ją do rzeki. Trzeci trzymał ją na sznurze, aby nie dozwolić odbić jej się od brzegu, a czwarty, trzymając w ręku bambus, zanurzał ją w wodzie. W czasie tych chwil, wydających się wszystkim nieznośnie długiemi, woda pozostawała spokojna. Trzymający klatkę nieco wolniej popuścił sznur przez Wawrzyńca we wodzie zupełnie zanurzony, wstrząsnął klatką, a ta z pod parcia bambusu uwolniona, wypłynęła na wierzch. Po powtórnem jej zanurzeniu dostrzeżono lekkie poruszenie: był to znak, że chwalebna dusza Wawrzyńca została oswobodzoną z więzów ciała.

We wrześniu 1884 r. Szung-Hi-Szang powiedział:

— Niema ani jednego chrześcijanina imieniem Szung, a gdyby kiedykolwiek komu z naszej rodziny przyszła myśl nawrócenia się, zdołalibyśmy łatwo wybić mu ją z głowy.

Bóg usłyszał jego wyzwanie. Jeden z jego rodziny zapragnął Chrztu i otrzymał go dnia 11 czerwca 1887 roku, po śmierci Wawrzyńca. Szung-Hi-Szang znów się może odezwie w ten sposób:

— Był jeden chrześcijanin imieniem Szung, a i tego tylko co właśnie utopiliśmy. Zobaczymy, czy inny ośmieli się nawrócić.

Ale Bóg i tym razem zapewne znowu wysłucha tego wezwania i dla śmierci męczeńskiej Wawrzyńca przysporzy nam katechumenów godnych jego pamięci.

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

Część druga.

ROZDZIAŁ I.

Jeszcze Müler, wszedłszy do swego namiotu, nie zdążył się rzucić na niedźwiedzią skórą pokryte łóżko obozowe, aby odpocząć kilka godzin przed mającym się wraz ze świtem zorzy porannej rozpocząć szturmem, gdy wszedł doń książę heski, w towarzystwie swego ulubionego giermka.

— Jenerale — rzekł z pewną wyniosłością w głosie — przyszedłem do ciebie z prośbą...

Ostatni wyraz wymówił z naciskiem.

— Do kroćset piorunów!—zawołał z odcieniem radości Müller — co się stało?... Rozkazuj, mości książę!...

Temu gburowatemu żołdakowi pochlebiało, że jeden z książąt, którzy z majestatem królewskim się poufalą, przyszedł do jego namiotu i miał doń prośbę.

— Rozkazuj, książę!—powtórzył, wskazując przybyłemu krzesło—wyznam prawdę, że jestem bardzo zdumiony tem nagłem do mnie przybyciem waszej ekscelencyi... Toć przed kwadransem widzieliśmy się...

Mówiąc to, znowu na krzesło wskazywał.

Ale książę podparł się tylko na ramieniu młodego giermka. Wyglądał imponująco, w płaszcz ciemny owinięty, w szerokim na głowie kapeluszu, z ręką na rękojeści szpady.

— Jenerale, mam do ciebie prośbę — powtórzył — musisz ją spełnić, jeśli ci miłą przyjaźń moja...

— Wszystko zrobię, do stu tysięcy kaduków! — zahuczał gruby Szwed, łaską pańską uradowany — mów, książę... towarzyszem ci jestem... przyjaźń twoją cenię...

— Dobrze więc — przerwał książę i zwracając swą piękną, lecz jakby z wosku ulepioną, pożółkłą twarz, okoloną ciemnym, jakby skrzydło kruka zarostem, wprost na Müllera, mówił, kładąc rękę na sercu:

— Jenerale! mam krótką prośbę, lecz stanowczą: uwolnisz tych ludzi, których w moim namiocie na śmierć skazałeś...

Müller porwał się i niezmiernie zdziwiony zapytał:

— Tych jeńców?... Ależ jakiem prawem?... Mości książę, my mamy prawo wojenne ponad nami... Któż z nas wyższy nad prawo?... Czyż to być może, abym mógł spełnić to żądanie waszej książęcej mości?...

— Nie o bezprawie przyszedłem cię prosić, jenerale, lecz o łaskę dla tych nieszczęśliwych, wśród których znajduje się przyjaciel mój z lat szkolnych... Przyszedłem prosić o łaskę, jenerale... Uczyń tak, aby i prawu stało się zadość i prośbie mojej.

Jenerał zaczął sapać, uderzać rękoma o kolana, namyślać się, wreszcie rzekł:

— Brzuchańskiego... tego płowowłosego nie mogę uwolnić pod żadnym warunkiem... Zawinił on ciężko... Krzepił odwagę oblężonych, przynosząc im wieści ze Śląska, od psiarni tego dziada-włóczęgi Kazimierza Wazy... Nie!... Młodego Brzuchańskiego uwolnić nie mogę...

— Jenerale — przerwał książę — żadnych wyjątków... Spełnisz lub nie moją prośbę?

Müller poczerwieniał, spojrzał w oblicze księcia, zazwyczaj obojętne i melancholią nacechowane, teraz z płomieniem w czarnych, wysoką brwią ocienionych oczach.

I na chwilę wydało się staremu wojakowi, że ma przed sobą prócz księcia, swego jedynego władzcę i pana, najjaśniejszego króla Karola Gustawa.

Książę z postawy, z obejścia się wielkopańskiego, z rozumu przenikliwego, zawsze wydawał mu się istotą doskonalszą, dlań do naśladowania niedościgłą. Przed oczyma jego duszy stanął obraz, gdy w Krakowie, w podziemiach kościoła na Skałce, ostatni raz widział króla szwedzkiego, a przy nim właśnie był książę heski, w tym samym co

teraz płaszczu i kapeluszu szerokim o piuropuszu, przy którego wstędze błyszczała spinka brylantowa, jak gwiazda gorejąca.

— Na Boga, mów, jenerale! — nalegał książę, nie odejmując ręki od serca.

Müller powstał, perukę poprawił na łysej jak kolano głowie, po czerwonym, sfałdowanym, grubym jak u tura karku przesunął ręką i odsapnąwszy, krwią nabiegłe z niewywczasu i nadmiernego użycia trunków oczy, w twarzy księcia utopił.

— Pod jednym warunkiem może być spełniona prośba wasza, mości książę — rzekł głosem ochrypłym, chmurząc brwi krzaczaste—a tym jest słowo honoru wzięte od tych jeńców... Dadzą wam, książę, słowo żołnierskie, że uwolnieni więcej za broń nie chwycą i do czasu uspokojenia buntów w tym kraju w jednym z grodów przez nasze wojska obsadzonym spokojnie przebywać będą... Może to być Warszawa, Piotrków lub Kraków... Pod tym względem dajemy im swobodę...

— Dziękuję, jenerale!... Sam chciałem im ten warunek postawić.. W przeciwnym razie dopuścilibyśmy się bezprawia względem naszego króla i naszej niezwyciężonej armii... Gdy zostanę namiestnikiem królewskim nad całym tym krajem, dam ci tytuł i władzę... Spokojnie odpoczniesz po trudach żywota obozowego... Bądź pewien, jenerale, mojej przyjaźni... Żegnam cię do rana... Spocznij, ja idę spłacić dług, który zaciągnęła młodość...

Wyszedł, brzęcząc rycerskiemi ostrogami, a za nim, złożywszy ukłon Müllerowi, podążył i giermek książęcy, wysmukły jak topola Dziowanelli.

Jenerał, jak stał, rzucił się na łoże niedźwiedzią skórą zasłane: utrudzenie całodzienne zmogło go.

Łaknął odpoczynku, jak łaknie przyduszony — powietrza.

Sen zdawał się czyhać na niego, skleił mu zaraz powieki, lecz przed podniecohą obfitem użyciem trunków wyobraźnią natychmiast roztoczyły się gorączkowe majaczenia.

Ujrzał się w bitwach, przy boku królewskim, na polach niemieckich, zdawał się słyszeć okrzyki zwycięskie nieporównanej piechoty i jazdy szwedzkiej, widział twierdze i grody nieprzyjacielskie, rozpadające się w gruzy pod uderzeniami ognistych pocisków artyleryi... Spalone gorączką wargi jego szeptały nazwiska zdruzgotanych miast, w pył zburzonych zamków: — „Kraków... Poznań... Warszawa... Lwów... Wilno“...

Nagle drgnął... Ujrzał żelazne, niezwyciężone hufce swoje u stóp skały, na której szczycie wznosił się klasztor o strzelistej, nieba sięgającej wieży... O tę skałę rozbijały się zaprawne w boju hufce... Olbrzymy w stal zakute zmieniały się w karłów...

Śpiący jenerał poruszył się na swem łożu, lecz sen gnębiący nie opuścił go...

Müller widzi się na czele wojska, zagrzewa je do szturmu, widzi, jak tysiące zbrojnego ludu pną się ku murom, na których stoi zakonnik biały z krzyżem w ręku. Ogniste kule, jak grad spadają na klasztor, pożar obejmuje jego dachy, biały ksiądz znika, mury rozpadają się... Müller zachęca swoich, chwila, a klasztor będzie w jego mocy... Wtem nagle od stropu niebios, w słonecznych blaskach spływa postać niewieścia w koronie na głowie, w płaszczu z błękitów, na których lśnią złote gwiazdy. Jak słońce jaśnieje Jej oblicze, promieni Jej oczu nie mogą znosić oblegający, padają przerażeni, a w błękitach Jej szaty, jak brzęczące pszczoły, giną kule ogniste.

Oślepieni kanonierzy rzucili lonty, wzniesione w górę miecze opadły, rusznice zamilkły. W królewskim z błękitów płaszczu i z gwiazd koronie postać słoneczna osłoniła klasztor i górę, na której się wznosi, jak osłania matka dziecię, gdy godzą w nie wrogie moce.

Müller hardo spojrzał w lica Tej przemożnej Pani; rozkaz groźny, wyrok śmierci miał na ustach, lecz nagle uczuł przestrach śmiertelny, krew lodem ścięła się w jego żyłach, padł twarzą do ziemi i w konwulsyach zaczął gryźć zmarzłą grudę, niezdolny unieść, oderwać głowy, niewidzialną mocą przykutej do skalistej opoki.

Jęk bolesny, ciężki, chrapliwy rozległ się w namiocie szwedzkiego wodza.

Pachołek, czuwający w kącie namiotu, ocknął się, a widząc, że jenerał śpi niespokojnie, porwał się na nogi.

W tejże chwili zerwał się i siadł na łożu Müller. Szeroką dłonią przetarł oczy, zaklął, za głowę się porwał i krzyknął:

— Na szatana, czary tych mnichów i we śnie mnie gnębią!.. Co za sen!...

I drżał na ciele nerwowo, mimowolnie, ten wojak doświadczony, zahartowany, który w dziesiątkach bitw krwawych zachowywał spokój, rozwagę i męstwo, drżał pod wrażeniem sennego widziadła.

— Zawołaj mi mistrza Johana! — krzyknął na pachołka — zaraz, natychmiast niech do mnie przychodzi... Na czary mnichów nasze rzucimy czary... Hej, Johan, do mnie!... do mnie!... Tę niewiastę w płaszczu z gwiazd od nieba do ziemi sięgającym widzieli już i moi żołnierze, widzieli i wodzowie... Nie chciałem wierzyć!... Ot, czary białych mnichów jakże wiele mogą!... Ale Johan potężniejsze na was i wasz kurnik rzuci! — krzyczał i porwawszy za dzban wina, pić począł, ocierając zimny pot z czoła.

Po chwili uspokoił się, lecz lęk co chwila jeszcze chwytał go za serce.

Wszedł Johan.

— Wina! — zawołał Müller na pachołka — do mnie, Johan, musimy dziś co najzjadliwsze czary rzucić na klasztor... Jutro szturm walny... Mnie już nad miarę dręczą czary mnichów białych... Ale zobaczymy, kto zwycięży...

— Nie możesz spać, jenerale? — zapytał Niemiec — pij wino!... Później weźmiemy się do rzucania czarów i zaklęć na klasztor...

Müllerowi spodobała się ta rada, i obaj z czarnoksiężnikiem pić zaczęli a jednocześnie straszliwe rzucać przekleństwa na Jasną-Górę i jej obrońców.

Wreszcie jenerał pochylił się i szepnął do ucha Johanowi:

— Nasze czary słabsze... Oblicze tej niewiasty w gwiazdach i błękitach lęk we mnie budzi. Radbym opuścić te miejsca, które są hańbą dla oręża naszego...

— Odejdźmy więc, odejdźmy precz z pod tego klasztoru! — radził otyły Johan.

— Zobaczymy!... Raz jeszcze spróbuję szczęścia... Mam co najtęższe działa... Feldmarszałek mi je przysłał... Czary czarami, a armaty armatami!... Wierzę równie dobrze w ogień działowy, jak w czarodziejskie sztuki!... Zobaczysz, zburzę ten klasztor... Kamienia na kamieniu nie zostawię!...

— Niech wasza ekscelencya spocznie choć na godzin kilka — radził Niemiec, którego oczy sen zamykał.

Müller przecząco wstrząsnął głową, ociężałą od nadmiaru wina.

— Nie!... spać nie będę... Boję się tej przedziwnej postaci, która mi grozi... która płaszczem królewskim osłania cały klasztor... Nie chcę już spać u stóp tego przeklętego kurnika... Wiedz, Johan, jeśli jutro nie zburzę tego gniazda czarnoksiężników polskich, nie zetrę z ziemi do fundamentów, to odejdę z tych miejsc... odejdę!... Niech pamięć we mnie o nich zaginie!... Tam, gdzie kule z dział naszych nic zdziałać nie mogą, ja nie mam co robić... Jutro przekonam się, co warte twoje zaklęcia czarodziejskie i moje kule z dział najgrubszego kalibru...

Johan coś mruknął pod nosem, poczem chciwie zaczął pić wino.

Müler rzucił kilka przekleństw straszliwych i umilkłszy, chwycił za dzban z winem.

Tak obaj dotrwali do rana, nawpół pijani, w bezsenności i udręczeniu.

ROZDZIAŁ II.

Owinięci w płaszcze, w kapeluszach zsuniętych na czoło, jak dwa cienie, przesuwali się przez obóz szwedzki dwaj rycerze.

Byli to książę heski i młody giermek jego Dziowanelli.

Przed namiotem książęcym czekali na nich trzej jeźdźcy, trzymając w pogotowiu dwa kare rumaki. Książę i giermek dosiedli ich i zwolna wśród mroków nocnych i milczenia skierowali się w stronę zachodnią obozu, szeroką obręczą opasującego obwarowania klasztorne.

Wiatr wiał od północy, ciężkie ołowiane chmury, co chwila prószące śniegiem, sunęły po niebie, zdając się wisieć tuż-tuż nad ziemią lodem ściętą, białym puchem śnieżnym przysypaną.

Jadąc, widzieli, że w obozie wrzało, jak w mrowisku. Tysiące żołnierzy nie spało, gotując się do jutrzejszego, o świcie mającego nastąpić szturmu. Tu i owdzie, zasłonięte od strony klasztoru worami pełnemi piasku, paliły się ogniska. Szwedzi, jak muchy, obsiadali je, grzejąc skostniałe członki.

Przy krwawych błyskach ognisk widać było ich ponure, zniechęcone długiemi trudami oblężenia lica, ich zbroje błyszczące, na zacięty bój jutrzejszy opatrywane.

Niektórzy z nich, widząc orszak rycerski, poprzedzany przez jeźdźca z gorejącą pochodnią w ręku, poznawali księcia i powstając, okrzykiem wojskowym witali go, inni, bardziej utrudzeni lub drzemką zmożeni, obojętnie przepuszczali przejeżdżających.

Przed namiotami dowódców stały straże, ponakładawszy na zbroje zwyczajne kożuchy chłopskie, zrabowane w składach miejskich, wyglądali w nich, jak pastuchy lub kmiecie, tracąc rycerską postawę.

Mroźne podmuchy wichru uderzały w twarz jadących.

— Co za zimno, mój Dziowanelli! — narzekał książę, osłaniając się płaszczem.

— W ojczyźnie mojej nie znane! — odparł młody Włoch.

Niebawem wjechali w istne miasto namiotów, w których mieściły się wyborowe pułki piechoty szwedzkiej, wsławione w bataliach na zachodzie Europy, pyszne przeszłością pełną chwały wojennej, zaszczycane łaską królewską, zwycięskie w krwawych bitwach na polach rozsypującej się w gruzy rzeczypospolitej polskiej, jak się zdawało, raz na zawsze powalonej, obezwładnionej, złamanej...

Niebawem orszak księcia zboczył po zamarzłej drodze, podartej kołami wozów wojennych i dział ciężkich, z Krakowa nadesłanych. Jadący przodem żołnierz z łuczywem zapalonem w ręku, zmierzał wprost

na ciemniejący w pobliżu szaniec, najeżony paszczami dział i rusznicami piechoty.

Szaniec ten na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby opuszczony, zapomniany: panowała na nim cisza, nie palono ogni, nie nucono pieśni. Nic nie zapowiadało, że ze świtem miały stąd zionąć gromami paszcze największych dział, jakiemi ówczesna artylerya rozporządzać mogła.

Niby ciemne cielsko olbrzymiej bestyi, przyczajonej do ziemi, groźnej, śmiercionośnej, tak ten szaniec, ręką żołnierza skandynawskiego usypany, zdawał się czaić, czekając sposobnej chwili do rzucenia się na wrogi sobie klasztor, wysmukłą wieżycą sięgający nieba.

— Szaniec ten jutro pierwszy otworzy ogień działowy — rzekł książę.

— Czy przy nim są więzienia?

— Tak—odparł książę—strzeże on przytem kamieniarzy olkuskich, którym od dni kilku rozkazano z tej strony robić podkop pod górę klasztorną.

— I kopią?...

— Tak, ale w ten sposób, że roku czasu trzebaby, aby ich robota mogła szkodzić Jasnej-Górze... Żadna siła nie może ich zmusić do pośpiechu... Upór ich czerpie siły w wierze w cudowność tego miejsca...

— I ja mam tę wiarę! — szepnął Dziowanelli, podnosząc w górę oczy, pełne przedziwnej zadumy.

— Ty rozumiesz tych ludzi, ja nie!... Wprawdzie współczuję z nimi, z ich niedolą, ale nie przestaję pogardzać, jako barbarzyńcami...

Dziowanelli chciał coś odrzec, ale w tejże chwili, niby z obłoków rozległ się ponad górą klasztorną śpiew pobożny i muzyki melodyjnej granie.

— Mnichy się modlą! — szepnął książę — z wieży klasztornej słychać ich pienia.

— Dziwnie działa na mnie ta muzyka i te głosy skazanych jutro na zagładę Bogu poświęconych zakonników! — szepnął młody giermek.

— Tak, podobnych rzeczy nigdzie nie widywaliśmy i nie słyszeliśmy...

— Tony orkiestry klasztornej—mówił dalej Dziowanelli—grającej prastarą pieśń na cześć Madonny przedziwnie brzmią wśród tej nocy zimowej, śnieżnej, gdy tysiące pocisków ognistych czai się, aby w gruzy obrócić to cudowne miejsce...

— Przestaj snuć te poetyczne marzenia, mój chłopcze! — rzekł książę — wjeżdżamy w obręb fortu i stajemy przed więzieniem, przeznaczonem dla niezwykłych przestępców... Zwróć lepiej uwagę i odczuj kontrast obrazów, które rzucę przed twą wyobraźnię... Słuchaj, bo to jak epizod z czarodziejskiej baśni... Potężny młody hrabia Jan Klemens

z Ruszczy Branicki, królewiątkiem przez nas w Padwie, na studyach uniwersyteckich zwany, chłopiec o złotem sercu, tutaj, w tej norze straszliwej, odarty ze wszystkiego, na śmierć skazany haniebną...

W tejże chwili rumak książęcy spłoszył się, gdyż niespodzianie wypadła kupa jeźdźców z za ciemnego szańca i z pijanym hałasem parła się naprzód.

Orszak książęcy zatrzymał się.

— Co to za biesy? — krzyknął książę, wstrzymując rwącego się rumaka.

— Hejże! coście za ludzie?... — zawołał żołnierz, trzymający łuczywo. — Książę heski, towarzysz i przyjaciel jego królewskiej mości Karola Gustawa, jest tu obecny!...

Na ten okrzyk, jadący przodem na czele zbrojnej gromady jeźdźców szlachcic, zatrzymał konia i pochylając się na siodle, odrzekł:

— Czołem jego wysokości... Szlachcic polski — Zaklika pokornie składa służby swoje u stóp majestatu książęcego...

Pochodnie rzuciły krwawe światło na mówiącego i jego oddział.

Książę ujrzał przed sobą postaci zbrojne, w wilczury przybrane, na rosłych koniach siedzące, o minach zbójeckich, snać niedawnem użyciem nadmiernem trunków podnieconych.

Przy tym, który się nazwał Zakliką, jechał na karym koniu człek w stroju cygańskim, o oczach, jak u wilka, w ciemności błyszczących.

— A cóż to, mości Zakliko, na podjazd wybraliście się? — zapytał książę.

— Tak ci jest, wasza wysokość! — odrzekł zapytany.

— A któż to was wysyła?

— Jaśnie wielmożny hrabia Wejchard Wrzeszczewicz.

— I dokąd?

— Pod Olsztyn... Za godzinę, dwie będziemy z powrotem...

— Jedźcie szczęśliwie! — rzekł książę — i wracajcie co prędzej, bo do szurmu walnego przydacie nam się. A cóż to za czarny kawaler w cygańskim stroju wam towarzyszy?...

— Jest to psubrat zawołany... cygan Wukosz... przewodnik w naszej wycieczce — tłómaczył Zaklika. — Za cenę życia własnego ma nas na tropy pewnych zbiegów naprowadzić... Jeśli mu się to nie powiedzie, będzie wisiał jeszcze dzisiejszej nocy... Nie doczeka świtu...

Wukosz, widząc, że książę nań spojrzał, zeskoczył z konia i ukląkł na ziemi.

— O, słońce świata! — zawołał błagalnie—jam uczciwy człowiek... nie każ mnie najpotężniejszy panie!... Dwie białogłowy wydam w ręce tych świetnych rycerzy!...

Na wzmiankę o białogłowach książę roześmiał się, odwrócił konia i rzekł:

— Nie mieszam się do spraw waszych!... Jedźcie, dokąd wam rozkazano!

Niebawem rozległ się tętent, dał się słyszeć chrapliwy głos Zakliki i cały oddział zbrojny, z pijaną wrzawą, jak chmara potępieńców przepadł w ciemnościach nocnych wśród mroźnych podmuchów wichru.

— O jakich oni białogłowach mówili? — zapytał Dziowanelli.

— Nie nasza to rzecz — odparł książę — jeno hrabiego Wrzeszczewicza... Nie chcę się mieszać w jego sprawy...

— Podjazd wybrał hrabia niby z samych zbójów — mówił młody giermek.

— Trafnieś to powiedział — potwierdził książę.

Tymczasem dowódca siły zbrojnej, czuwającej nad szańcem, zjawił się przed orszakiem książęcym i zdziwiony nocnemi odwiedzinami tak dostojnego gościa, zapraszał go do swego namiotu.

Książę zsiadł z konia i odpowiadając uprzejmie na powitanie, przyjął zaproszenie.

Dowódca sił szwedzkich, zebranych przy szańcu był człowiekiem o herkulesowej postawie i minie żołnierza nieustraszonego w boju, przezornego i prawego.

Książę go znał, więc rzekł doń poufale:

— Cieszę się, że los do ciebie sprowadził mnie, pułkowniku!... Mam prośbę..

— Rozkazuj, wasza wysokość! — odrzekł olbrzym, stojąc przed księciem wyprostowany jak trzcina.

— Sprowadź do mnie tych trzech więźniów, których przed godziną stary Arnulf, wracając z podjazdu, przywiódł z sobą...

— Tych, którzy mają być przez sąd wojenny na śmierć skazani? — zapytał pułkownik.

— Tak!

Olbrzym wyszedł, a książę usiadł przy niewielkim stole dębowym, zrabowanym w którymś z dworków wiejskich w okolicy Częstochowy i zamyślił się.

Jakże żywo w tym momencie serce jego odczuwało wrażenia dawno przeżyte. Wśród wrzawy wojennej zapomniał o pełnym słońca uśmiechu wiosny życia; teraz przypomniał to sobie i utonął w lubej zadumie, dzięki niezwykłemu, niby z baśni wysnutemu, zdarzeniu.

Przed kilku laty hrabianka Zofia Branicka, siostra Jana, w pielgrzymce swej pobożnej do Rzymu, do grobu świętego Piotra, gościła na dworze książęcym, podejmowana przez rodziców młodego księcia, z honorami należnemi tak wielce możnemu rodowi, jakim był Branickich.

Krótko trwała ta gościna, lecz na wieki będzie wspomnieniem najmilszem dla księcia.

Gdy czasy się zmieniły, gdy z orężem w ręku wszedł do ojczyzny tej, którą niegdyś za małżonkę pojąć zamierzał, pragnieniem jego było dowiedzieć się o niej, ujrzeć ją. Tak, ujrzeć tylko, gdyż dziś za wysoko byłoby dla niej, aby mogła zostać jego żoną. Wreszcie może jest już żoną innego.

I co za dziwne losu zrządzenie...

Brat jej za chwilę stanie przed nim, jako na śmierć skazany, a on wróci mu życie, uwolni go z kajdan, z katuszy niewoli.

— Nie do wiary częstokroć splatają się zdarzenia w życiu ludzkiem — myślał książę. — W wirze wypadków dziejowego znaczenia, czyż mogłem przypuszczać, że nudę długiego oblężenia urozmaici mi to barwne, pełne dramatyczności zdarzenie?... Jan Klemens, ten wykwintny wielbiciel mistrzów odrodzonej Italii, którego postępy w naukach, subtelność umysłu podziwiali wytrawni uczeni zachodu, przepowiadając sławną przyszłość, ten wydelikacony paniczyk, o licach herubina, tutaj, wśród rzesz barbarzyńskiego chłopstwa, pojmany w niewolę, rzucony w norę więzienną i na śmierć przysądzony... Niezwykłość tego zdarzenia mogłaby dać przepiękny temat do opowieści rycerskiej — szepnął książę, budząc się z zadumy.

Po raz pierwszy, od rozwinięcia namiotów pod Częstochową, której okolice wydały mu się pustynią, nie nudził się, czuł się ożywionym i jakby odmłodzonym.

Nagle zasłona u namiotu odchyliła się i wszedł szybko Dziowanelli.

— Idą, prowadzą ich! — rzekł z przejęciem i drżeniem w głosie, stając za krzesłem księcia.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz VIII.

Orygenes.

Drugim znakomitym obrońcą wiary chrześcijańskiej w trzecim wieku był Orygenes, dyamentowym zwany, dla twardej, niepożytej pracy; pismami swemi nabył chwałę nieśmiertelną.

Orygenes był synem ś-go Leonidasa, urodził się r. 185 w Aleksandryi, słynnem portowem mieście egipskiem; od dzieciństwa niepospolite okazywał zdolności, na których ojciec jego wielkie budował nadzieje, ciesząc się szczególnie pilności jego i postępom w łasce Bożej.

Nieraz, gdy młodzieńczy Orygenes spał, ś-ty Leonidas odkrywał mu piersi i całował je z uszanowaniem, jako świątynię Ducha Świętego. Skoro wybuchło prześladowanie za Septyma Sewera, a Leonidas uwięziony został, Orygenes chciał się w ręce katów oddać, wiedziony gorącem pragnieniem męczeństwa; musiano szaty mu odjąć i zamykać je przed nim, aby domu opuścić nie mógł.

Gdy go tak mocą zatrzymywano, napisał do ojca list rozrzewniający, w którym go prosił, aby myśl o dzieciach nie mieszała spokoju duszy jego, albowiem, jak powiada: „Bóg będzie miał o nas staranie.“ Święty Leonidas ściętym został, a dobra jego skofiskowano, co przyprowadziło do ubóstwa pozostałą po nim wdowę i córkę. Orygenes otwo-

rzył szkołę gramatyki, i zwykła dwów swoich rodzinę przez dłuższy czas utrzymywał.

Później objął po dawnym swym nauczycielu Klemensie Aleksandryjskim, słynną wówczas katechetyczną, to jest o wierze świętej traktującą szkołę chrześcijańską w Aleksandryi. Nietylko młodzież, ale i uczeni filozofowie schodzili się tłumnie słuchać jego wykładów: wielu uczniów zawdzięczało mu nawrócenie swoje, niektórzy z nich świętymi zostali, a nawet śmierć ponieśli męczeńską.

Łaska Boża słowom jego towarzyszyła, tak, iż każdy zapalał się miłością ku cnotom i prawdom, o których on mówił. Orygenes nie pozostał stale w Aleksandryi, lecz świat cały rozgłosem nauki swej napełnił: bawił przez czas niejaki w Rzymie po śmierci Septyma-Sewera, w Palestynie po kościołach nauczał, w Grecyi pracował nad wykorzenieienm szerzących się herezyi i nawet do Arabii wezwany został przez biskupów, aby umysły oświecać jasnością rozumu swego. Gdy za Maksyma cesarza przez dwa lata od 235 — 237 r. szerzyło się z całą siłą szóste powszechne prześladowanie, ukrywał się przed niem Orygenes w Azyi Mniejszej; śmierć okrutnego cesarza, przez własnych żołnierzy zabitego, przyniosła chrześcijanom cokolwiek wytchnienia.

Dzieło, które napisał Orygenes przeciw niebezpiecznemu nieprzyjacielowi wiary Chrystusowej Celzusowi, jest najdzielniejszą obroną chrześcijaństwa, jaką wydała starożytność. Celzus, filozof epikurejski, czcił tylko zmysłowe rozkosze, w dziele po grecku napisanem zaczepiał wiarę naszą różnemi fałszywemi dowodzeniami, a przedewszystkiem usiłował śmiesznością ją okryć. Orygenes w następujących mniej więcej słowach rozpoczął obronę swoją:

„Może stosowniejby mi było pójść za przykładem Chrystusa Pana, który milczał wobec swych sędziów i na oszczerstwa nieprzyjaciół swoich odpowiadał jedynie świętością życia i cudów rozgłosem. Zbytecznem się wydawać może odpieranie oszczerstw, które złość ludzka wymyślać przeciw Niemu nie przestaje, ponieważ broni Go dostatecznie cnota Jego wyznawców, której blask rozprasza wszelkie kłamliwe zarzuty. Nie piszę jednak dla prawowiernych, dla nich obrona wszelka zbytecznąby była, piszę dla niewiernych, którym nauka taka przydać się może.“

Następnie odpiera błędne twierdzenia Celzusa i rozwija w całym blasku prawdy nauki chrześcijańskiej, popierając ją faktami, którym nikt zaprzeczyć nie zdoła, a mianowicie: proroctwami, poprzedzającemi przyjście Zbawiciela, cudami, czynionemi przez Niego, doskonałością życia i czystością obyczajów uczniów Jego. Zwraca uwagę zwłaszczą na to, iż do czasu przyjścia Chrystusa Pana i spełnienia się proroctw ustały cuda i objawienia Boże u żydów, a natomiast do chrześcijan się

przeniosły. Celzus nie zaprzeczał cudów Chrystusa, lecz przypisywał je sztuce czarnoksięskiej. Orygenes mu opowiada, iż cuda mocą Bożą czynione różnią się niezmiernie od szatańskich omamień, zarówno przez skutki swoje, jak przez czystość nauki i obyczajów tych, którzy je czynią; okazuje jak Mojżesz, prorocy, a wreszcie Chrystus Pan za pomocą cudów rozszerzali naukę, która ludzkość uzacniała i uszlachetniała. Przeciwnie zaś oszuści i szarlatani o własną tylko chwałę dbają i starają się zaprzeczyć moralnej istoty człowieka, to też pamięć o nich prędko ginie. Zmartwychwstanie Chrystusa Pana było cudem tak jawnym, iż Piotr, apostołowie i uczniowie Jego, obcując z Nim przez czterdzieści dni po Jego śmierci, nabrali niezachwianego przekonania o Bóstwie Jego i o prawdzie Jego nauki, tak iż ani groźby, ani zadawane im męki nie mogły ich powstrzymać od głoszenia w obec świata wiary, za którą chętnie życie kładli w ofierze.

„Jakżeż ludzie prości i niewykształceni — powiada — byliby się ważyli na dzieło przeistoczenia świata całego, gdyby ich moc Boża nie była wspierała? Jakżeż ludy byłyby na ich czcze słowo zgodziły się na porzucenie wszystkich swych dawnych obyczajów i na przyjęcie zasad wprost naturze ich przeciwnych, gdyby ich serca nie zostały wzruszone siłą z wysokości i widokiem cudów nadzwyczajnych!“

Orygenes szczególnie dowodzi boskiego pochodzenia wiary chrześcijańskiej przez zmianę nadzwyczajną, jaką sprawia w tych, którzy ją przyjmują: „Poprawa obyczajów, powiada, jest głównym skutkiem opowiadania Ewangelii świętej. Zasady chrześcijan wznoszą ich moralnie wysoko ponad innych ludzi; chrześcijanin poskramia najgwałtowniejsze namiętności swoje, aby się Bogu przypodobać, gdy tymczasem poganie zatapiają się bez sromu w najbezecniejszych rozkoszach, i wśród tysiąca okropnych nadużyć, uczciwymi ludźmi się mienią.“

Czytając te słowa, mimowoli na myśl przychodzą dzisiejsi chrześcijanie z imienia tylko do Kościoła należący, których tak wielka liczba straciła pojęcie o czystości i surowości chrześcijańskich zasad i zupełnie pogańskie poglądy pod wielu względami wyznaje. W onych pierwszych wiekach chrześcijańskich, gdy kto w grzech popadł, zwłaszcza w grzech nieczystości, wykluczanym zostawał z Kościoła, wierni płacząc nad jego śmiercią duchową polecali go Bogu, musiał się poddać długiej i ciężkiej pokucie, zanim został znowu przypuszczonym do Sakramentów świętych i do wspólnictwa w obrzędach wiary. Pomimo całej swej apostolskiej gorliwości, chrześcijanie wielką ostrożność zachowywali w przyjmowaniu nowonawracających się pogan lub żydów, którzy długi czas próby i ćwiczenia się w cnotach przebyć musieli, zanim do grona chrześcijan przez Chrzest święty przypuszczeni bywali.

Orygenes wielce się opiekował wyznawcami prześladowanymi za wiarę, wymową swą do wytrwałości ich pobudzał i coraz większe pragnienie męczeństwa w nich wzniecał: odwiedzał ich w więzieniach, towarzyszył im przed sędziów, a nieraz i na miejsce śmierci i podtrzymywał ich męstwo z narażeniem życia własnego. Podczas siódmego prześladowania powszechnego za cesarza Decyusza został wtrącony do więzienia i przeniósł ciężkie męki, które podkopały jego zdrowie, pomimo rzadkiego hartu, nabytego ostrym i umartwionym sposobem życia. Chciano go przemódz głodem, pragnieniem, bezsennością, wszystko napróżno: przywykł bowiem do umartwień, ścisłego postu nigdy prawie nie przerywał, większą część nocy czuwał i na gołej ziemi sypiał niewielką liczbę godzin.

Orygenes pozostawił około 6000 dzieł: w niektórych z nich zamiast wykazać zgodność prawdziwej filozofii z dogmatami wiary chrześcijańskiej, stosował i nakręcał dogmata do pogańskich pojęć filozoficznych, a zwłaszcza do nauki pogańskiego filozofa Platona i tak tu i owdzie mylną głosił naukę o początku człowieka, o zmartwychwstaniu ciał, o Wcieleniu Chrystusa Pana i o przyszłem życiu. Być może, iż niedokładność przepisywaczy powiększyła jeszcze popełnione przez niego błędy, lecz bądź co bądź Kościół egipski wykluczył go ze wspólności, biskupi dalszych prowincyi potwierdzili potępiający nań wyrok, i wypędzonym został ze szkoły Aleksandryjskiej, którą uświetniał przez lat tyle. Wyrok ten złamał go na duchu, niedługo też potem umarł w Azyi, w mieście Tyrze r. 253. Nie obstawał nigdy uporczywie przy błędach swoich, lecz zawsze był gotów do poddania się orzeczeniom świętego Kościoła katolickiego. Po śmierci jeszcze broniono go i potępiano na przemian z namiętnością wielką. W trzy wieki później na soborach wydawali biskupi i cesarze piorunujące wyroki przeciw pismom jegogdyż heretycy, mianowicie Aryanie w IV wieku, powoływali się na jego powagę, aby nieszczęsne swe błędy poprzeć, a znakomity ów heretyków pogromca nie żył już, aby raz jeszcze głos swój wymowny podnieść na ich zawstydzenie, a na obronę Kościoła.

W każdym razie wielkie położył zasługi Orygenes dla Kościoła Bożego, podjął między innemi wielkie prace, celem udowodnienia autentyczności ksiąg Pisma świętego, które Kościół do dziś dnia uważa za kanoniczne, to jest zawierające objawienie Boże w całej czystości. Taka praca bardzo była ważną, gdyż druku wówczas nie było, a niedokładność przepisywaczy mogła łatwo skazić fałszywemi naleciałościami i dodatkami Księgi święte. Lecz sam Bóg, któremu szło przecież o nie, naruszone przechowanie prawdy, którą ludziom objawił, czuwał nad „listem swoim do stworzenia“ czyli Pismem świętem i nad tem, aby je Kościół zachował w całej czystości.

W tym względzie położył też wielkie zasługi uczony historyk kościelny Euzebiusz z Cezarei, współczesny Orygenesowi, który wszystko, co znalazł u starożytnych pisarzy, zebrał i uporządkował.

Prześladowanie za cesarza Decysza, którego skutki przy doznanych zmartwieniach skróciły życie Orygenesa, wielu męczenników przysporzyło świętemu Kościołowi katolickiemu, a między nimi warto wspomnieć: Świętego Pioniusza ze Smyrny, kapłana i ucznia świętego Polikarpa, świętą Agatę, młodziutką dziedziczkę olbrzymiego majątku z wysokiego rodu pochodzącą, która wolała wyrzec się wszystkiego niż wiary; świetego Cyryla, który pomimo dziecięcego wieku swego i namów ojca poganina, z bohaterskiem męstwem męki i śmierć poniósł, czerpiąc siłę niezwyciężoną w ciągłem powtarzaniu Imienia Jezus.

(D. c. n.)



Na stolicach biskupich.

Jubileusz biskupi Najdostojniejszego Arcypasterza warszawskiego, ks. Wincentego Teofila Sulimy Chościak Popiela.

W pierwszej połowie roku ubiegłego, Najdostojniejszy Arcypasterz warszawski, ks. Wincenty Teofil Sulima-Chościak Popiel, obchodził dwudziestą piątą rocznicę dostąpienia godności arcybiskupiej; w grudniu zaś tegoż roku przypadła czterdziesta rocznica Jego biskupstwa. Obydwie te rocznice duchowieństwo i wierni katolicy uczcili godnie uroczystością, wyrażając tym sposobem Najdostojniejszemu Jubilatowi uznanie dla Jego niepożytych zasług. O jubileuszu arcybiskupim pisaliśmy w czasie właściwym, a przy sposobności podaliśmy streszczenie działalności Najdostojniejszego Jubilata. Obecnie, składając Mu hołd z powodu jubileuszu biskupiego, nie będziemy znanych już czytelnikom naszym szczegółów powtarzali — poprzestaniemy na opisie uroczystości i uzupełnieniu czcigodnego portretu Jego Arcypasterskiej Mości nowemi rysami.

Jubileusz rzeczony przypadł na dzień 6 grudnia — uroczystości jednak rozpoczęły się już dnia poprzedniego. W dniu tym, o godzinie 11-ej przed południem, Jego Arcypasterskiej Mości składały życzenia osoby świeckie: przedstawiciele rozmaitych instytucyj naszych i zakładów miłosiernych. Więc z ramienia Archikonfraternii literackiej (jedno z najstarszych warszawskich bractw pobożnych) stawili się: Maciej książę Radziwiłł, Feliks hrabia Czacki i senior tego bractwa, p. Mieczysław Pronaszko, aby wręczyć Najdostojniejszemu Jubilatowi adres, to jest życzenia, spisane na pargaminowej karcie, podznaczone własnoręcznie przez wszystkich członków Archikonfraternii.



Katedra we Włocławku.

Następnie składał życzenia przedstawiciel Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, więc imieniem ziemian, prezes komitetu tegoż Towarzystwa, p. Ludwik Górski, w otoczeniu radców wymienionej instytucyi; dalej winszowali Najdostojniejszemu Jubilatowi przedstawiciele Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, więc mieszczan: dyrektor Aleksander Czajewicz i p. Aleksander Czechowski; wreszcie złożył hołd Arcypasterzowi, imieniem bractwa Przenajświętszego Sakramentu, senior tego bractwa, p. Badowski. W ciągu dnia tego, Jego Arcypasterska Mość otrzymał mnóstwo życzeń, osobiście, piśmiennie i za pomocą telegrafu, od różnych osób.

Nazajutrz, w niedzielę, przed godziną 8-mą z rana, do pałacu arcybiskupiego przybyli wszyscy alumni seminaryum metropolitalnego warszawskiego, ze swoimi przełożonymi i profesorami. Po stosownem przemówieniu, regens seminaryum, ks. kanonik Kakowski, doręczył Najdostojniejszemu Jubilatowi, jako dar od seminaryum — wspaniały kałamarz srebrny, ważący przeszło 20 funtów, prześlicznie rzeźbiony przez artystę-cyzelatora, p. Żelisławskiego. Kałamarz stanowi wierną podobiznę pałacu Paca, w którym obecnie mieści się warszawski Sąd Okręgowy; na podstawie widnieje herb Arcypasterza — Sulima, oraz wyryte są nazwiska ofiarodawców. Podziękowawszy za życzenia i dar, Jego Arcypasterska Mość udał się do kaplicy pałacowej, aby odprawić Mszę Świętą. Główna uroczystość jubileuszowa odbyła się w katedrze, szczelnie wypełnionej wiernymi wszystkich stanów.

Nadmienimy, że życzenia Najdostojniejszemu Jubilatowi złożyli też redaktorowie czasopism polskich, a z listów i depesz telegraficznych zapiszemy: od księcia biskupa krakowskiego kardynała Puzyny; od arcybiskupa metropolity mohylowskiego ks. Jerzego hrabi Szembeka; od ks. biskupów: sufragana krakowskiego — Nowaka; kujawsko-kaliskiego — Zdzitowieckiego; kieleckiego — Kulińskiego; sandomierskiego — Zwierowicza; od administratora parafii sejneńskiej — ks. prałata Antonowicza; od wszystkich seminaryów duchownych polskich; od hrabiów: Branickich, Zamoyskich, Potockich, Łubieńskich i wielu, wielu innych dostojnych rodzin.

Życzenia i dary jubileuszowe składano Jego Arcypasterskiej Mości przez cały tydzień jeszcze.

W życiorysie Arcypasterza, który drukowaliśmy w roku ubiegłym, nadmieniliśmy, iż szczególną troską Jego Dostojności było i jest przyczynianie się do chwały Bożej przez wznoszenie nowych świątyń i odnawianie istniejących. Jeden z kapłanów, ks. J. G., pisze w tej mierze: „Znajomość i miłość sztuk pięknych uczyniła z Jego Dostojności światłego przewodnika w ważnej sprawie budowy i przebudowy świątyń. Wszystkie plany budowlane przegląda osobiście, rozpatruje, oce-

nia. Podczas ostatnich lat czterdziestu, dzięki zabiegom Jego Dostojności, wzniesiono wiele świątyń nowych, a w istniejących zaprowadzono ład, powstrzymano je od ruiny. Najcelniejszem z dzieł Najdostojniejszego Jubilata w zakresie budownictwa kościelnego będzie po wszystkie czasy gruntowna przebudowa prastarej katedry włocławskiej, dokonana Jego szczodrobliwością i staraniem."

Istotnie — przebudowanie, a raczej odbudowanie starodawnej świątyni włocławskiej stało się dla Jego Arcypasterskiej Mości pomnikiem trwałym i świetnym. Ale obok tego widzimy liczny szereg dzieł w tym zakresie, dokonanych wskutek starań Najdostojniejszego Arcypasterza. I nietylko wskutek starań, lecz także wskutek ofiarności Jego. Rozpatrzmy się, co zrobił w tym kierunku w samej Warszawie. Otóż Arcypasterz w Warszawie za rządów swoich dopełnił konsekracyi kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie. Akt ten uroczysty odbył się 31 października 1883 r. W tymże roku, 28 czerwca, dopełnił poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę kościoła Ś-tych Apostołów Piotra i Pawła, a w trzy lata potem dopełnił aktu konsekracyi wzniesionej już w tem miejscu świątyni. Dnia 13 czerwca 1888 r., w asystencyi Jego Dostojności ks. biskupa Ruszkiewicza, poświęcił kamień węgielny pod budowę kościoła Ś-go Floryana na Pradze. Wspaniała ta świątynia doczekała się konsekracyi w r. 1901. W r. 1888 na cmentarzu Bródzieńskim wzniesiono mały, drewniany kościołek, pod wezwaniem Ś-go Wincentego. W r. 1894 odbyła się konsekracya przebudowanego i znacznie rozszerzonego kościoła Ś-go Aleksandra. W r. 1896 otwarty został dla wiernych nowy kościół Ś-go Augustyna na Nowolipkach. Na konsekracyę oczekuje kościół Ś-go Karola Boromeusza na cmentarzu Powązkowskim, świątynia okazała, powstała w miejscu starego, szczupłego kościołka. Do gruntownej przebudowy katedry Ś-go Jana Jego Arcypasterska Mość przyczynił się hojną ofiarą 10 tysięcy rubli. Obecnie wznoszą się jeszcze dwa kościoły: Zbawiciela, przy ulicy Marszałkowskiej i Ś-go Stanisława biskupa, na Woli.

Po za Warszawą, lecz w archidyecezyi warszawskiej, za rządów Jego Arcypasterskiej Mości, wzniesiono lub znacznie rozszerzono i odnowiono świątynie w miejscowościach następujących: w Bełdowie, Błędowie, Bartoszewicach, Chojnach, Chorzęcinie, Czerwonce, Dobrem, Jadowie, Kałuszynie, Kamieńczyku, Koluszkach, Kołbieli, Kompinie, Kutnie, Lesznie, Łodzi (w tem mieście powstały dwa kościoły: Ś-go Krzyża i Najświętszej Maryi Panny); dalej — w Mogielnicy, Nieborowie, Przybyszewie, Radziwiu, Rzeczycy, Sadkowicach, Sannikach, Tomaszowie, Złotowie i Żyrardowie.

Poczet znaczny, bardzo znaczny, a zwiększy się on niechybnie, gdyż Jego Arcypasterską Mość Bóg obdarza czerstwem zdrowiem i miej-

my nadzieję — długie lata zachować go raczy w pełni sił. Wierni i duchowieństwo gorącą o to błagają Przedwiecznego Stwórcę.

Jego Dostojność ks. Jerzy hrabia Szembek, Arcybiskup-Metropolita mohylewski.

Na osieroconą przez śmierć ś. p. ks Bolesława Kłopotowskiego stolicę arcybiskupią i metropolię mohylewską, został powołany Jego Dostojność ks. Jerzy hrabia Szembek, dotychczasowy biskup płocki. Dwa lata temu, gdy Pasterz Dostojny stolicę płocką obejmował, podaliśmy jego życiorys obszerny. Obecnie, zaznaczając wyniesienie Jego Dostojności na nową, zaszczytniejszą godność, również nie będziemy powtarzali szczegółów już czytelnikom naszym znanych, natomiast streścimy działalność Dostojnego Nominata w dyecezyi płockiej.

Krótko ona trwała, lecz zostawia po sobie ślady niezatarte. Dostojny Pasterz, zaraz po objęciu stolicy, co nastąpiło w dniu 7 lipca 1901 r., z całą gorliwością do pełnienia trudnych obowiązków się zabrał. Odbył wiele wizyt dyecezyalnych, wybierzmował tysiące wiernych, zbadał osobiście potrzeby wielu parafij, wydał cały szereg nowych rozporządzeń i przepisów, dotyczących właściwego porządku i odbywania nabożeństw, stosunku proboszczów do wikaryuszów swoich i tym podobnych.

Najważniejszem jednak dziełem Jego Dostojności jest gruntowne odnowienie i przebudowanie starożytnej katedry płockiej. Do dzieła onego przystąpił niezwłocznie po objęciu stolicy płockiej i oto po dwóch zaledwie latach w znacznej go dokonał mierze, roboty bowiem zewnętrzne zostały już ukończone w zupełności, tak, że można było dopełnić aktu konsekracyi. Jakoż dopełnił go Pasterz w wigilię swej nominacyi na najwyższą godność duchowną rzymsko-katolicką w Cesarstwie. Po wieczne czasy świadczyć będzie o tem dziele Jego Dostojności napis, skreślony na karcie pargaminowej, umieszczonej w tak zwanym „grobie“, to jest w zagłębieniu zwierzchniej płyty marmurowej ołtarza wielkiego, gdzie również umieszczone zustały relikwie Świętych. Napis na karcie opiewa:

Ego Georgius Josephus Elisaeus a Slupow Szembek, Episcopus Plocensis, hoc Portatile Plociae solenniter consecravi, reliqiasque SS. Speciosi et Constantinae in eo inclusi, co znaczy: „Ja Jerzy Józef Elizeusz ze Słupowa Szembek, biskup płocki, pokonsekrowałem uroczyście ten portatil, oraz relikwie Świętych w nim umieściłem.“

Żeby mieć pojęcie o doniosłości tego dzieła, trzeba wiedzieć, że katedra płocka stanowi jeden z najstarożytniejszych zabytków budownictwa kościelnego w Polsce. Z biegiem czasu różne przechodziła koleje. Niszczyły ją pożary, burzyły wojny, zawsze jednak czuwali nad nią Pasterze i możni a bogobojni obywatele, więc podnoszono ją z gruzów, odnawiano, przebudowywano. Aliści odnawiano i przebudowywano niedbale, co więcej — tak nieumiejętnie, że zacierano w niej cechy pierwotne, z wielką dla całości szkodą. Bo pamiątka dziejowa ma wtedy wartość, jeżeli przechowuje się bez zmiany, bez naleciałości. Tymczasem odnawiacze katedry płockiej o tem nie pamiętali i przyszło do tego, że dowolne przeróbki, bezmyślne ozdoby oszpeciły szacowny ten zabytek, przetworzły go na jakiś zlepek cudaczny, w którym rysów starożytnych trudno było odszukać. Chcąc naprawić, co inni psowali przez wieki, należało gmach cały z gruntu przebudować, niepotrzebne i niesmaczne dodatki odrzucić, natomiast przywrócić świątyni rysy pierwotne. Jego Dostojność biskup hr. Szembek postanowił tego właśnie dokonać.

Sposobność się po temu zdarzała, bo katedra, przez czas silnie nadwątlona, zaledwie się trzymała i niewiele brakowało, żeby mury, z pozoru potężne, w gruzy się rozpadły. Wprawdzie Jego Dostojność nie miał pod ręką odpowiednich funduszów (łatwo zaś się domyśleć, że potrzeba było funduszów bardzo znacznych), ale zaufał pomocy Bożej i dobrej woli wiernych. Nie omylił się. Fundusze jakoś się znalazły— i oto po dwóch latach widzimy katedrę taką, jaką być powinna.

Godzi się powiedzieć, w jaki sposób przebudowa tak poważna i kosztowna dokonaną została. Pracowało przy niej stu robotników płockich, a roboty prowadzono według planu budowniczego warszawskiego, p. Stefana Szyllera. On też był głównym kierownikiem dzieła, na miejscu zaś robót doglądali pomocnicy jego, p. p. Adam Kryński i Władysław Trzciński. Poszczególne działy robót prowadzili: mularski — p. Kacper Pełkowski, ciesielski — p. Franciszek Przymanowski, ślusarski — p. Józef Szyling, blacharski — p. Bledzicki; wszyscy majstrowie cechowi z Płocka. Tylko roboty blacharskie powierzono p. Bolesławowi Golańskiemu z Warszawy.

Na przebudowę wydano dotychczas 150 tysięcy rubli. Złożyły się na tę sumę: fundusz, należący do katedry, a znajdujący się w rozporządzeniu kapituły; stałe ofiary duchowieństwa całej dyecezyi, niekiedy bardzo znaczne (one to były głównem źródłem dla przebudowy); ofiary dyecezyan, zbierane po kościołach sześć razy do roku. Na wykończenie robót wewnętrznych potrzeba jeszcze co najmniej 100 tysięcy rubli, ale nadzieja w Bogu, że i ta suma się znajdzie.



Katedra płocka po odnowieniu.

Przebudowa była tak gruntowna, że w wielu miejscach sięgano aż do fundamentów. Ze zmian dokonanych przy niej wymienimy główniejsze: Dawny fronton, w stylu greckim, wraz z wieżami, zastąpiono frontonem odpowiadającym całości gmachu, który należy do budowli wczesnego Odrodzenia, z resztkami stylu romańskiego, w jakim prawdopodobnie była zbudowana początkowo. Podwyższono kopułę środkową, wysunięto chór, aby pomieścić organy więcej na zewnątrz. Wreszcie gmach cały niejako podwyższono, przez odkopanie fundamentów w ziemi. Obecnie całość wspaniale się przedstawia.

Szczegółowy opis katedry płockiej oraz jej dziejów damy czytelnikom w jednym z następnych tomów „Dzwonka Częstochowskiego“; obecnie uważamy za właściwe sprostować przeoczenie wszystkich prawie warszawskich czasopism obrazkowych. Dając wiadomość o przebudowie katedry płockiej, dały też one podobizny niektórych jej zabytków, a pomiędzy innemi podobiznę grobowca, w ścianę wmurowanego, który nazwały: „Pomnikiem króla Władysława Hermana“. Otóż grobowiec ten nie jest wcale pomnikiem tego króla. Wyobrażona na nim osoba ubiorem swoim błąd ten wykazuje. W katedrze płockiej, po lewej stronie od wejścia głównego, znajduje się kaplica, w niej na środku wznosi się grobowiec, z czarnego marmuru, ze stopniami, z płytą na czterech orłach wspartą. Na płycie widzimy poduszkę metalową, na niej godła królewskie: koronę, miecz, berło, jabłko, a dalej nieco napis oznajmiający, iż to jest grobowiec królów polskich: Władysława Hermana i syna jego, Bolesława Krzywoustego. Innego pomnika żaden z królów polskich w katedrze płockiej nie ma. Grobowiec, o którym mówimy wzniesiono w r. 1825, staraniem ówczesnego biskupa płockiego Prażmowskiego, z ofiar płocczan. Przechowuje się w nim istotnie trumna ze szczątkami wspomnianych królów polskich — nadto w tejże trumnie znajdują się szczątki pięciu pierwszych biskupów płockich: Szymona, Filipa, Stefana, Aleksandra i Wernera. Prawdopodobnie w tejże trumnie znajdują się także szczątki słynnego wojewody płockiego Krystyna, zamordowanego w r. 1217. Trumna z rzeczonemi popiołami znajdowała się dawniej u wejścia do chóru kanonicznego. Umieścił ją tam biskup Noskowski, który odbudowując katedrę r. 1560, popioły królów i biskupów wymienionych odnalazł. W zapowiedzianym opisie katedry płockiej obszerniej o tem rozpowiemy.

Jego Dostojność ks. Edward baron Ropp, biskup wileński.

Rok niespełna cieszyli się dyecezyanie tyraspolscy nowym Pasterzem, Jego Dostojnością ks. Edwardem baronem Roppem, który obecnie na stolicę wileńską przeniesiony został. Przez ten krótki przeciąg czasu wybitnie się jednak zaznaczyła działalność Pasterza w olbrzymiej dyecezyi. Odbył kilka miesięcy trwającą wizytacyę parafij na Kaukazie, wprowadził tam wiele zmian na lepsze, umocnił w wierze swoje owieczki. W samym Saratowie budził dla cnót swoich i gorliwości cześć oraz miłość. Ze smutkiem tedy dyecezyanie przyjęli wiadomość o przeniesieniu Jego Dostojności. Stolica Apostolska nie zapomni o nich — da im Pasterza wedle ich potrzeb i pragnień.

Jego Dostojność ks. Edward biskup Ropp na stolicy wileńskiej wdzięczne dla siebie znajdzie pole. Dyecezyanie oczekują go z sercem otwartem, wiedząc, że w nim znajdą Pasterza pełnego żarliwości niestygnącej, mocy ducha niezłomnej, niepospolitego rozumu i uczuć apostolskich, słowem — Ojca, który ich ku zbawieniu dusznemu przy pomocy Boga Najwyższego i Najświętszej Panienki Ostrobramskiej wieść będzie.





Kompania z Koniecpola, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej, n stóp Jasnej-Góry.

Rady i wskazówki ku nauce naszej i pożytkowi ze starej księgi zebrane.

I.

Módl się i licz na własną pracę i zasługę.

Nadzieja, łudząca chęci nasze, zda się być przyczyną największą, iż czas drogi marnie trawimy. Przepędziwszy próżno dzień, tydzień, miesiąc, pochlebiamy sobie, iż przyszły miesiąc lepiej przepędzimy. Marnie strawionego roku utratę osładza nam nadzieja lepszego przyszłych lat używania. Tak dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku bez pożytku naszego upływa. Nakoniec miną te lata, w których człowiek najsposobniejszym bywa do ćwiczenia się w tych rzeczach, które go zalecić mogły. Widzi młodszych nad siebie, z doskonalszemi niż on przymiotami: wie to, iż gdyby lepiej czasu używał, zrównałby się z nimi, albo też i przewyższył w talentach. Uznaje błąd swój i grzesznie przeklina zawodne nadzieje.

Za przykład posłużyć nam może zdarzenie prawdziwe z życia pewnego młodzieńca.

Ukończywszy chlubnie nauki, udał się do obcych krajów, gdzie w naukach miał zamiar udoskonalić się, ale wdawszy się w złe towarzystwa, próżniaków i darmozjadów, nietylko nic za granicą nie skorzystał, ale i tego zapomniał, czego się w domu nauczył.

Pewnego ranka dowiaduje się, że mu ojciec umarł, powraca więc do kraju, osiada w Warszawie i zaczyna życie wystawne. Dostatki po ojcu dały mu okazyę do marnotrawstwa czasu i grosza. Po chwilach

uciech zadziwił się mocno, że mu tych pieniędzy, które ojciec zbierał przez lat kilkadziesiąt w pocie czoła i pracy uciążliwej, nagle brakować zaczęło. Tymczasem trzeba było i dalej tak żyć wspaniale, jak się poczęło. Znaleźli się przyjaciele, którzy przez upadek jego swojego szukali szczęścia. Pożyczali mu hojnie pieniędzy, dopóki wiedzieli, że jeszcze dobra dziedziczne ich sumom wystarczały.

Pewny starzec, jego ojca przyjaciel, widząc go do zguby dążącego, chciał mu oczy otworzyć i pokazać niebezpieczeństwo, w którem zostawał. Radził mu, aby i czasu i pieniędzy marnie nie trawił, aby się aplikował do służenia krajowi. Roześmiał się na to ów młodzian i rzecze:

— „Nie bój się waszmość pan, wyjdę ja na swoje, na dobrym fundamencie opieram moje nadzieje. Najprzód wystawnością życia pozyskam sobie wielu przyjaciół; choćbym i upadł, to mnie podźwigną; powtóre mam ciotkę starą, bezdzietną, która rocznie sto tysięcy ma dochodu. Stryja też mam bezdzietnego, który rocznie ma dwadzieścia tysięcy dochodu. Jestem ich prawym sukcesorem. Mnie się ich dobra dostaną, będę milionowym panem. Mam ja własny rozum, wiem, co czynię, a waszmość panu dziękuję za troskliwość o moje pieniądze.“

Odebrawszy taką odpowiedź, starzec odszedł: zamiast wdzięczności, której się spodziewał, odniósł zawstydzenie.

Po krótkim czasie niespodziewanie dowiedział się ten młodzieniec, iż owa jego już letnia ciotka znalazła takiego kawalera, który się zakochał w jej pieniądzach i pojął ją za żonę. Zmieszała nieco ta nowina owego młodziana, ale przyjaciele usłużni nie pozwolili mu się martwić.

W czas jakiś potem, oznajmiają mu, iż stryj bezdzietny, w którym tak wielką pokładał nadzieję, przegrał proces, jaki z ogromnym kosztem w różnych sądach prowadził przez lat kilkanaście i stąd przyszedł do ostatniego upadku.

Przeraziło to młodziana, ale nic nie poprawiło. Nadzieja sukcesyi po ciotce dodawała mu dobrych myśli. Wtem dają mu znać, że ciotka powiła syna szczęśliwie. Tu dopiero nasz młodzian ujrzał, że w rozpaczliwem znalazł się położeniu. Wierzyciele, dowiedziawszy się o tym stanie swego dłużnika, nawiedzili jego dobra i rozebrali je jak własne. Udaje się zatem do swoich przyjaciół, prosi o pomoc, ale ci odwracają się od niego, jako od biedaka. Nikt nie chce mu ręki podać, bo pracować ów młodzian nie uczył się, nie umiał. Marny więc odtąd wlókł żywot, aż doszło do ostatecznego upadku i choroby. Zmarł w nędzy.

Należy ubolewać nad tym człowiekiem, że dobra utracił, ale jeszcze więcej, że młodość i życie zmarnował. A przez co?... Przez zbytnie na przyszłość nadzieje, a żywot próżniaczy, lekkomyślny, hulaszczy. Gdyby on lepiej tak był swe starania skierował, żeby coś umiał, jakąś pracą się odznaczył, żeby go ludzie szanowali, to stratę majątku mógłby był łatwo powetować. Widzieć albowiem można wielu ludzi, którzy w ubóstwie urodzeni, przyszli do znacznych fortun i honorów przez pracę i zasługę. Ci zaś, którzy jedynie nadziejami żyją, na siebie samych, na własną pracę i zasługę nie zważają, odnoszą najczęściej zgubę.

(D. c. n.)



Nowiny z Częstochowy.

KONKURS NA WIERSZ.

Pragnąc przyczynić się do czci Niepokalanie Poczętej Najświętszej Maryi Panny, gdy cały świat katolicki rozpoczął uroczysty obchód 50-letniej rocznicy ogłoszenia Dogmatu Jej Niepokalanego Poczęcia, redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“, pisma czci Królowej Niebios poświęconego, ogłasza konkurs na wiersz, któryby opiewał chwałę Przenajświętszej Panienki.

Nie brakuje, dzięki Bogu, u nas poetów natchnionych, niechże nastroją lutnie i niech popłyną z nich dźwięki godne chórów anielskich.

Utwór ten na cześć Niepokalanej Maryi, Matki Bożej, może być objętości dowolnej, najpożądańszym jednak byłby krótki, najwyżej od 30 do stu wierszy wynoszący.

Nagród przeznacza się trzy dla utworów najwybitniejszych, które mogłyby być ogłoszone drukiem w „Dzwonku Częstochowskim“: pierwszą 25 rubli, drugą 15 rubli i trzecią 10 rubli, oprócz honoraryum za druk w naszem piśmie po kopiejek dziesięć od wiersza.

Termin nadsyłania rękopisów upłynie w dniu 1 maja roku bieżącego, poczem nastąpi niezwłoczne osądzenie przez sąd konkursowy prac nadesłanych.

Ufni, że niniejsza odezwa nasza do piszących i miłujących Niepokalanie Poczętą Najświętszą Maryą Pannę nie przebrzmi bez echa i szczery znajdzie oddźwięk w ich sercach, cieszymy się już naprzód, że u stóp ołtarzy Królowej i Pani niebios i ziemi za naszą przyczyną



Kompania z Poznania, u stóp Jasnej-Góry.

złożony zostanie niejeden piękny kwiat poetyckiego natchnienia, wiersz na cześć Najświętszej, Najmiłościwszej, Najczystszej Orędowniczki i Pocieszycielki naszej, Matki Boga Jedynego.

Kompania z Koniecpola, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej. Pod przewodnictwem czcigodnego ks. Mikołaja Lubowidzkiego, przybyła we wrześniu roku ubiegłego kompania na Jasną-Górę, we wzorowym porządku, zwracająca uwagę przykładnem zachowaniem się na miejscu świętem i pobożnością. Pątników przybyło 430 z własną kapelą. Ksiądz proboszcz Lubowidzki z wielkim nakładem starań i pracy doprowadził świątynię w Koniecpolu do wzorowego porządku.

Kompania z Poznania. Pod przewodnictwem p. Łukomskiego nader uroczyście przybyła roku zeszłego kompania na Jasną-Górę, budząc dla siebie miłość i szacunek przykładną pobożnością.

O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski

Fr. Dud. z Samarkandy	rb. — 50 kop.
M. Pławski	„ 5 — „
Ks. Kossakiewicz w Górach Wysokich . .	„ 1 — „
J. Aniołkowski w Warszawie	„ 1 — „

Dla biednych do uznania Redakcyi.

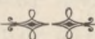
J. W. P. Skórzewski w Chełmie . . .	rb. 1, 10 kop.
H. Świdziński w Niemirowie	„ – 40 „

Na szpital.

W. Wojtkiewicz w Gabrieliszkach . . .	rb. — 70 kop.

Na powodzian.

Ks. Romanowski w Ratnie	rb. — 70 kop.
Prenumeratorowie „Dz. Częst“ z Godlewa na powodzian do uznania Redakcyi	, 60 — „



Nowiny z daleka i z blizka.

Rok pierwszy panowania Jego Świętobliwości Papieża Piusa X.

= O Francyi, w której Kościół doznaje najwyższych zniewag Ojciec Ś-ty tak się niedawno wyraził: „Francya rozpoczęła walkę z Bogiem. Uciskając wiernych, rząd francuski godzi w Chrystusa, wystawia Kościół na takie same upokorzenia, jakie On przechodził. Dlatego wierni muszą gromadzić się w zgodzie dokoła Chrystusa. Każdy ich krok niewłaściwy daje nową sposobność bezbożnym wrogom do zaczepki. Niemożna jednak grzechów rządu francuskiego uważać za skutek tego, że Francya jest rzeczpospolitą (to jest, że w niej rządzi nie monarcha, lecz naród, a raczej prezydent i pełnomocnicy narodu). Spotykamy przecież królów i cesarzów Kościołowi nieprzychylnych. W innych rzeczpospolitych Kościół katolicki cieszy się zupełną swobodą. Opowiadał mi kardynał arcybiskup Baltimory, jak serdecznie przyjmuje go prezydent amerykańskich Stanów Zjednoczonych Roosevelt, chociaż jest (ten prezydent) protestantem. Katolicy francuscy również mogą słusznie zazdrościć losowi katolików w protestanckiej Anglii i w Niemczech.“

= Książnicy watykańskiej, w której znajdują się nadzwyczaj cenne księgi i rękopisy, zagrażało poważne niebezpieczeństwo. W komnatach nad nią położonych, wybuchnął pożar, a szerząc się gwałtownie, już był się dostał do mieszkania bibliotekarza, księdza Ehrlego. Zdarzyło się to w nocy. Z pierwszym ratunkiem pospieszyła nieliczna watykańska straż ogniowa i gwardya tamtejsza, ale usiłowania były da-

remne. Pożar coraz gwałtowniej szalał, zagrażał nietylko bibliotece, lecz także innym częściom Watykanu. Wtedy przybyła straż miejska w komplecie. Czas był wielki, bo już sufit w mieszkaniu bibliotekarza przepalił się i zapadł. Ze strażą ogniową stawił się w Watykanie oddział wojska, aby pilnować porządku w czasie pracy ratunkowej. Pierwszy to raz od roku 1870, to jest od chwili zagrabienia Rzymu i wydarcia go Papieżowi przez tłum bezbożników, którzy rzekomo działali w imieniu ludu włoskiego, wojsko włoskie znalazło się w Watykanie; raz pierwszy widziano tam dostojników rządowych, których też pożar sprowadził, więc: księcia Colonnę, burmistrza Rzymu, dyrektora policyi oraz innych. Pracowali wszyscy gorliwie nad stłumieniem pożaru, który też szczęśliwie opanowano około godziny pierwszej po północy. Jego Świętobliwość chciał również podążyć na miejsce wypadku, lecz wstrzymano Go zapewnieniem, że pożar już w karby ujęto. Mimo to Jego Świętobliwość czuwał, dopóki ogień zupełnie stłumiony nie został i co chwila żądał dokładnej o przebiegu zdarzenia wiadomości. Gdy pożar ugaszono, Jego Świętobliwość kazał podziękować wojsku i władzom rządowym, wzamian dygnitarze rządowi prosili o złożenie Jego Świętobliwości wyrazów najwyższego hołdu i czci najgłębszej. Pożar nie zrządził strat poważniejszych.

= Podczas konsystorza tajnego, Ojciec Ś-ty wypowiedział mowę doniosłego znaczenia. Więc zaznaczył naprzód, że święte dziedzictwo Piotrowe przyjął z ufnością w pomoc Bożą, ulegając jedynie woli kardynałów. Będzie on gorliwym stróżem wiary i troskliwym opiekunem wszystkich wiernych, dbałym o ich dusz zbawienie. Aby spełnić te wielkie obowiązki, nie uchyli się od żadnego trudu, od żadnej pracy. Godność Jego i przysięga, jaką złożył, obowiązują Go i zmuszają do żądania, żeby Papież miał wielką wolność także na zewnątrz, i był niezależnym od jakiejkolwiek mocy lub władzy. Pociechę dla serca Swego czerpie w pomocy, którą znachodzi w Świętem Kolegium kardynałów i której nadal się spodziewa. Często udawać się będzie do kardynałów po radę, pragnie bowiem, żeby i oni uczestniczyli w dźwiganiu niewypowiedzianie ciężkiego brzemienia rządów Kościołem Bożym. Starania Jego Świętobliwości obejmą nietylko wszystkie ludy chrześcijańskie, ale ludy całego świata, bo za wszystek ród ludzki Chrystus umarł. Dziwi to Jego Świętobliwość, że obecnie krążą najrozmaitsze domniemania co do tego, w jakim kierunku potoczą się Jego rządy. Ojciec Ś-ty może pójść tylko drogą poprzedników Swoich, którzy wszystko w duchu Chrystusowym poczynali i kończyli. Prawdę przenosi po nad wszystko. Mowa Jego jest mową Chrystusa — prostą, jasną, przenikającą. Bronić pragnie prawdy chrześcijańskiej przeciw zakusom bezbo-

żności, będzie przestrzegał karności, prawa i sprawiedliwości. Ojciec Ś-ty będzie kierował nietylko tymi, którzy słuchają, ale także tymi, którzy rozkazują. Ci, którzy powierzchownie na rzeczy patrzą, będą się gorszyli, że Jego Świętobliwość nadto nie upuści z oczu spraw politycznych. Ale jako Papież, jako Głowa Kościoła, utrzymywać musi stosunki z rządami i monarchami. W postępowaniu Swojem Jego Świętobliwość nie zrazi się pogróżkami, ani obelgami. „Kościół nie jest wrogiem wolności, ani wiedzy — tak brzmiało zakończenie mowy Jego Świętobliwości — owszem Kościół miłuje prawdziwą wolność i sprzyja rozwojowi prawdziwej wiedzy. Miłujemy nieprzyjaciół naszych i polecamy ich Bogu. Obowiązkiem Papieży jest nieść pomoc sprawiedliwości, zapobiegać bezprawiom, ukochać wszystkich i, jak Chrystus, modlić się za prześladowców Swoich. Ale fałszywie mniemać będzie ten, kto ze słów powyższych wyciągnąłby wniosek, że Papież musi prosić o czyją łaskę. Ostatecznie prawda zwycięży niesprawiedliwość.“

= Jego Świętobliwość udzielił posłuchania blizko stu Siostrom Miłosierdzia, a przyjąwszy je bardzo łaskawie, obdarzył temi pamiętnemi słowy:

— Dziękuję wam z całego serca za odwiedziny, ponieważ wiem, że nie sprowadziła was ciekawość zobaczenia Papieża, ale przychodzicie ożywione wiarą, by uczcić dostojność, którą wyobrażam i dokonać aktu poddania się Stolicy Ś-tej. Nie potrzebuję wzywać was, abyście się modliły za mnie; proszę was jednak o to, nie zapominajcie w swoich gorących modlitwach i przy Komunii Świętej błagać Pana, aby mi udzielił siły i wytrwałości do niesienia krzyża, którym podobało Mu się obciążyć moje ramiona; aby mi udzielił łask nietylko dla mnie samego, lecz dla wszystkich dusz, powierzonych mej pieczy, tak iżbym je przywiódł do Jezusa Chrystusa, zaprowadził do nieba. Błogosławię was z całego serca, wasze dzieła, waszych krewnych, osoby, które dla was są drogie. Życzę wam, żebyście w dziełach, jakie spełniacie, znalazły upragnione dla serc waszych pociechy. Nasza biedna ludność potrzebuje pomocy i pokrzepienia. Życzę więc, aby te z pośród was, które pracują w szpitalach, miały pociechę widzieć swoich umierających, zaopatrzonych w Sakramenta Ś-te. Niechaj te, które poświęcają się wychowaniu, mogą patrzeć na to, jak dziatki wzrastają w bojaźni Bożej, cnotliwie, wierne otrzymanym naukom. Niechaj wszyscy radują się z owoców waszej miłości bliźniego, niechaj zasługi wasze przygotują wam wieniec chwały w niebie. W tej myśli udzielam wam błogosławieństwo apostolskie.

Jubileusz ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy.

= W dniu 26 maja roku bieżącego Leon XIII ogłosił pismo następujące:

„Do Naszych Drogich Synów w Chrystusie, Kardynałów: Wincentego Vannutellego, Maryana Rampolli del Tindaro, Dominika Ferraty i Józefa Kalasantego Vives y Tuto.

Z różnych stron objawione nam zostało gorące pragnienie synów Kościoła uczczenia w sposób najbardziej uroczysty pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Jak dalece to pragnienie wiernych trafia nam do serca, łatwo zrozumieć. Nabożeństwo do Matki Najświętszej było zawsze dla Nas, od lat najmłodszych, najsłodszą potrzebą Naszej duszy, a powinno ono być uważane jako jeden ze środków najpotężniejszych, wskazanych przez Opatrzność, jako ratunek Kościoła. Zawsze, we wszystkich wiekach, wśród walk i prześladowań najcięższych, odwoływał się Kościół do opieki Maryi, a Jej przyczyna i pomoc, krzepiły Go i broniły. Obecnie, w czasach burzliwych, i dla Kościoła groźnych, serce Nasze, napełnia się błogą nadzieją, gdy widzimy, iż wierni z własnego popędu garną się z podniosłem uczuciem miłości do Tej, którą nazywamy Wspomożeniem wiernych. Drogą nam czyni tę pięćdziesiątą rocznicę dogmatu i to jeszcze, że ze wszystkich kardynałów i biskupów, którzy otaczali Poprzednika Naszego, kiedy ten dogmat światu ogłaszał, My jedni zostaliśmy jeszczy przy życiu. Przeto wolą Naszą jest, aby uroczystości tego jubileuszu nosiły cechy wspaniałości, jaka Rzymowi przystoi, a pobożności katolików wszystkich narodów może posłużyć za bodziec; dlatego postanowiliśmy zamianować Komitet Kardynałów, gwoli urządzenia odpowiednich uroczystości i pokierowania niemi w świecie całym. Was, Drodzy Synowie w Chrystusie, mianujemy głównymi członkami rzeczonego Komitetu, a pewni, że mądre Wasze zabiegi w zupełności odpowiedzą pragnieniom Naszym i wszystkich wiernych Kościoła, udzielamy Wam, jako zadatek łask Bożych, Nasze błogosławieństwo apostolskie.“

Wymienieni Kardynałowie niezwłocznie opracowali następującą odezwę do wiernych:

„Pobożne dzieci Matki Bożej z Kościoła katolickiego ze szczerą radością odczytują ten list apostolski. Namiestnik Chrystusa, odczuwając z ojcowską tkliwością pragnienia wiernych, wzywa cały świat katolicki do uświetnienia nadzwyczajnemi uroczystościami pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Ojciec Ś-ty, który już tak wiele uczynił, żeby w sercach wiernych wzrosła cześć dla Maryi, za pomocą tego pisma nie zadawala się przypomnieniem lat minionych, kiedy ujawniło się żarliwe i nieustanne nabożeństwo do Matki Bożej, ale przypomina w obecnej chwili różnych przeciwności, że cześć dla Maryi była po wszystkie wieki, jest i będzie jedną z sił najpotężniejszych, zesłanych przez Opatrzność Kościołowi katolickiemu. Nie zadawala się Ojciec Ś-ty również wyznaniem pełnem tkliwości i wdzięczności, że wśród Jego trosk wielkich i smutków, serce jego napełnia się pociechą i pokrzepieniem, gdy widzi ten objaw miłości i ufności wiernych synów ku Tej, która jest słusznie wzywana imieniem Wspomożenia Wiernych i która już tyle razy ocaliła Oblubienicę Chrystusową, Kościół Ś-ty, z pośród najgroźniejszych prześladowań: lecz przypomina jeszcze, iż On jest jedynym w danej chwili z pomiędzy tych wszystkich Kardynałów i biskupów, którzy uczestniczyli w radosnem ogłoszeniu tego dogmatu. Dlatego chce, aby przyszłe uroczystości były wspaniałe i nadzwyczajne; aby miały na sobie cechy potęgi Wiecznego Miasta; aby jednocześnie wykazały pobożność katolików całego świata, pragnących przy tak pięknej sposobności złożyć hołd Matce Bożej. Namiestnik Chrystusa, którego wierni synowie tak uczcili z okazyi Jego trzech wspaniałych jubileuszów, wzywa synów swoich obecnie do uświetnienia jubileuszu Niepokalanego Poczęcia. Zaświadczą oni tym sposobem, że potężnemu orędownictwu Niepokalanej Dziewicy przypisać należy wielkie łaski, jakiemi były obdarzone Jego rządy w obecnych, tak smutnych czasach; przeto niech cały świat katolicki zabrzmi na Jej cześć hymnem chwały i wdzięczności, niech wzywa Jej pomocy na nowe walki i prześladowania. Pragnąc to urzeczywistnić, Jego Świętobliwość wyznaczyć raczył Komisyę Kardynałów, powierzając jej urządzenie uroczystości jubileuszowych i kierunek niemi. Stosując się do wezwania Jego Świętobliwości i jednocześnie zadawalając gorące pragnienie serca, katolicy wszystkich krajów świata połącza się w przygotowaniach do tych wielkich uroczystości, dokładając gorliwego starunku, aby wypadły jak najświetniej. Wzamian Niepokalana Dziewica, coraz więcej czczona i coraz goręcej wyznawana, wyprosi u Boga pomyślność i spokój tak upragniony dla Kościoła i dla dusz naszych.“

Wiemy już, że rozporządzenie Leona XIII zatwierdził w całej rozciągłości Jego Świętobliwość Pius X, a zatwierdzenie to umieściliśmy

w poprzednim tomie „Dzwonka Częstochowskiego“. Również zamieściliśmy w tomie poprzednim naszego pisma streszczenie planu uroczystości, opracowanego przez Komisyę Kardynałów; obecnie jesteśmy w możności podać plan ten całkowicie, co też czynimy.

Złożyło się na niego 14 punktów, podpisał go zaś sekretarz Komisyi, Jakub Radini Tedeschi. Oto punkta owe:

1) Uroczystości *szczególne* będą się odbywały w Rzymie, w kościołach: Ś-go Piotra (tam Pius IX ogłosił dogmat Niepokalanego Poczęcia) i Matki Boskiej Większej; do tych uroczystości są zaproszeni przedstawiciele wszystkich krajów świata.

2) W Rzymie też odbędzie się *Zjazd* (*kongres*) *Maryjski* *), podług właściwego planu.

3) Będzie utworzona *Książnica Maryjska*, utworzona z dzieł, poświęconych czci Maryi. Książnica będzie darem dla Ojca Ś-go, świadczącym o uwielbieniu wiernych chrześcijan-katolików, jakie czują względem Bogarodzicy, a także stanie się pomnikiem wieczystym chwały Maryi.

4) W przeciągu roku 1904, odbędą się *misye specyalne*, z celem właściwego przygotowania wiernych do godnego obchodu uroczystości na cześć Niepokalanego Poczęcia.

5) Udzielanie *pierwszych Komunij Świętych* odbywać się będzie z większą niż zwykle solennością.

6) Będą urządzane specyalne *rozmyślania* (*rekolekcye*) *pobożne* dla członków stowarzyszeń katolickich, celem przygotowania ich do uroczystości grudniowych.

7) Znacznie będzie powiększona liczba *pielgrzymek* do miejsc świętych w różnych krajach.

8) Począwszy od dnia 8 grudnia roku ubiegłego każdy *ósmy dzień* każdego miesiąca ma być przeznaczony na szczególne praktyki pobożne, aby przez modlitwy i przystępowanie do Sakramentów Ś-tych, godnie usposobić wiernych do uroczystości jubileuszowych; praktyki rzeczone w Rzymie będą się odbywały najgłówniej w kościele Matki Boskiej Większej, gdzieindziej zaś w kościołach, przez zwierzchnią władzę duchowną wskazanych.

9) Będą zarządzone *szczególne modlitwy* do Matki Bożej o zdrowie i pomyślność rządów Ojca Świętego.

---

*) Piszemy nie, jak niektórzy *Maryański*, lecz *Maryjski* lub *Maryjny*, tak bowiem należy tworzyć przymiotnik od rzeczownika *Marya*. Znawca języka, profesor Aleksander Brückner jest dla nas w tej mierze wskazówką.

10) Będą zalecone szczególne *dzieła miłosierne* oraz uroczyste *nabożeństwa za dusze w czyśćcu zostające*, za te zwłaszcza, które miały tu, na ziemi, szczególne do Najświętszej Panny nabożeństwo.

11) W rzymskim kościele Ś-go Wawrzyńca *uroczyste nabożeństwo żałobne* za duszę Piusa IX, który dogmat Niepokalanego Poczęcia ogłosił.

12) Zarządzone zostaną *szczególne uroczystości*, gwoli uczczenia najdawniejszych wizerunków Bogarodzicy, znajdujących się w katakumbach rzymskich.

13) Będą zalecone zgromadzeniom zakonnym, stowarzyszeniom i zakładom religijnym, na uczczenie Niepokalanie Poczętej Dziewicy, szczególne uczynki pobożne oraz żarliwe uczestnictwo w uroczystościach i dziełach miłosiernych, mogą być dodawane inne; lecz jeżeli dzieła te mają być rozpowszechnione po całym świecie katolickim, musi je wprzód zatwierdzić komitet Kardynałów.

A teraz musimy objaśnić czytelnika, co do zamierzonego utworzenia *Książnicy Maryjskiej*. Może ona się stać w rzeczy samej pomnikiem wieczystym, najwspanialszym z najwspanialszych, jeżeli wszyscy wierni poczują się do obowiązku pomagania w jej utworzeniu i nadsyłać będą bądź proboszczom swoim, bądź wprost do Rzymu, pod adresem Komitetu Kardynałów, odpowiedni materyał. Jaki zaś materyał potrzebny jest do utworzenia Książnicy Maryjskiej, o tem pouczy niżej przytoczone wyszczególnienie. Otóż dzieli się ten materyał na trzy główne działy:

Dział pierwszy, *wyłącznie religijny*, składa się z poddziałów: Wiadomości o kościołach, wzniesionych ku czci Bogarodzicy (to jest: ile w danej dyecezyi wzniesiono kościołów takich, dzieje każdego z nich, możliwie szczegółowe); takież wiadomości o obrazach i figurach Matki Bożej, łaskami słynących; takież wiadomości o bractwach na cześć Najświętszej Panny zawiązanych; wiadomości o praktykach pobożnych, ku uczczeniu Bogarodzicy zaprowadzonych; wspomnienie i opis miejsc oraz przemiotów, z czcią Matki Bożej związek mających.

Dział drugi, *literacko-religijny* składa się z poddziałów: prace oryginalne autorów lat dawnych, drukowane lub w rękopisach zostające; takież prace autorów tegoczesnych; modlitewniki; pieśni i inne utwory poetyckie. Mowa tu o dostarczeniu tych przedmiotów lub o wiadomościach o nich szczegółowych.

Dział trzeci -- *pamiątkowy*: medale wybite na cześć Matki Bożej; pieczęcie, obrazki, medaliki, dawne i najnowsze; wszelkiego rodzaju podobizny kościołów, obrazów i figur Matki Bożej, łaskami słynących; rysunki i rzeźby, odtwarzające cuda bądź też wszelkie zdarzenia, z czcią Bogarodzicy związek mające.



Dzieci do pierwszej Komunii Świętej, Gorzdowskiej parafii. — Żmudź.

Bliższych objaśnień, co do utworzenia Książnicy Maryjskiej, jak również co do wszelkich szczegółów jubileuszowych, udzieli wiernym każdy kapłan katolicki najchętniej. Dodamy jeszcze, że w Rzymie wychodzić będzie czasopismo „Immaculata“ („Niepokalana“), w którem znajdzie się wszystko, co jeno jubileuszu dotyczy.

= We Lwowie, w maju, roku bieżącego, odbędzie się Zjazd Maryjski, pierwszy w Galicyi, który ujawni świadectwa czci Maryi, składane przez katolików polskich, oraz zastanowi się nad środkami utrwalenia i pomnożenia tej czci serdecznej. Zjazd lwowski też określi, jaki udział przypadnie Polakom-katolikom w wszechświatowym Zjeździe Maryjskim, który, jak nadmieniliśmy ma się odbyć w Rzymie. Zjazdem lwowskim zajmuje się gorliwie komitet, wybrany z lwowskich Sodalisów Maryjskich. Komitet podzielił się na sześć oddziałów: finansowy (gromadzący środki pieniężne), objaśniający, gospodarski, sprawozdawczy, artystyczny i kolejowy. Komitet stara się, aby nasi pisarze, muzycy, malarze i rzeźbiarze przyczynili się do uświetnienia uroczystości jubileuszowych, bądź przez odczyty właściwe, bądź przez koncerta, bądź przez wystawy; a nadto stara się o dary dla Książnicy Maryjskiej. Zjazdem kieruje ksiądz arcybiskup Bilczewski, który za miesiąc ogłosi odnośny list pasterski.

Cudowne ocalenie przez Najświętszą Maryę Pannę. Otrzymujemy wiadomość od pani Wincentowej z Judzieniczów Konwalewskiej, obecnie zamieszkałej na Kaukazie w Samtredi, gubernii Kutaiskiej, o wiarogodnym fakcie ocalenia jej od utonięcia przez Najświętszą Maryę Pannę.

Oto słowa samej ocalonej:

„Będąc małem dzieckiem, w domu rodziców, miałam nauczycielkę, która podczas lekcyi religii uczyła mnie litanii do Najświętszej Maryi Panny i na końcu lekcyi powtarzała zawsze, abym tę litanię odmawiała codziennie, a śmierć będę miała szczęśliwą. Gdy byłam starszą, oddano mnie do zakładu naukowego w Wilnie. Pamiętam, że nieraz dla braku czasu nie zmówiłam pacierza, którego nauczyła mię ś. p. matka moja, litanię zaś musiałam odmawiać i z taką zawsze wiarą, że prawie pragnęłam śmierci, spodziewając się wielkiej łaski od Matki Boskiej.

W 19-ym roku życia wróciłam do Kresławia, do domu rodzinnego, gdzie zarządzał brat, rodzice bowiem już nie żyli. O kilka wiorst od Kresławia znajdował się majątek Baltyce, własność pani Bogdanowiczowej, matki dwojga dzieci: Jana i Maryi, z któremi znaliśmy się od dzieciństwa i bardzo kochali. W karnawale 1891 r. pani B. oczekiwała zjazdu licznych gości u siebie, a życząc sobie, abym i ja uczestni-

czyła w tej zabawie, przysłała Janka i Maryę po mnie do Kresławia. Wyjechaliśmy do Baltyc we trójkę małemi saneczkami, bez stangreta, powoził p. Bogdanowicz. Ruszyliśmy z miejsca o 6-ej wieczorem. Był już zmrok, droga prowadziła nad samym brzegiem Dźwiny; rzeka środkiem bystro płynęła, a tylko brzegi pokryte były grubym lodem. Jechaliśmy, gwarząc wesoło. Naraz spostrzegamy z trwogą, że jesteśmy na lodzie, mając z lewej strony bystre fale wody, a z prawej bardzo wysoki brzeg rzeki. Nie było innej rady, jak cofnąć konia w tył do niższego brzegu i wyjechać na drogę, ale jak tylko p. Bogd. ściągnął lejce wgórę — koń oparł się całą siłą nogami, stanął dęba, a lód zatrzeszczał złowrogo, załamał się i wpadliśmy w głębinę Dźwiny. Natychmiast zniknęła w nurtach Marya, Jan uczepił się ręką uprzęży na koniu, a ja kołnierza kurtki futrzanej Jana i tak z biegiem wody płynęliśmy dość długo...

Wtem straszny przedstawia się widok: szybko płynąca kra lodowa uderza konia, pogrąża go w głębinach, a jednocześnie ginie mi z oczów mój towarzysz... Zostaję sama, płynę. Wzywam Matki Najświętszej, a kiedy już tracę siły, podpływa do mnie jakby mała tratwa z lodu, której chwytam się rękoma, a raczej zawieszam się w taki sposób: woda z całą siłą prądu uderza w moje plecy, nogi ciągnie bieg rzeki, jestem zgięta w kabłąk i tak dopływam do lodowca połączonego z zamarzniętym brzegiem; — tutaj zatrzymuję się. Miejsce, mniej więcej, znane mi. Ludzi blizko niema. Noc ciemna, a zatem śmierć mię czeka niechybnie. Z całą przytomnością błagam Boga o odpuszczenie win moich, a pragnąc Komunii Świętej, wołam: — „O, Jezu, Zbawco i Odkupicielu mój, zstąp do serca mego!“ Jednocześnie doznaję strasznych boleści, kurczów, zimna i strachu. Już mam silną wolę zakończyć męczarnie i opuścić się w otchłań wody, nie przestając mówić litanii, a przynajmniej powtarzać: — „Matko Chrystusa, ratuj mnie!“ Wtem o, dziwo! nad moją głową rozlegają się słowa: „Trzymaj się lodu, będziesz ocalona!“ Poznałam dwóch ludzi z naszej wsi. Rozpatrzywszy się w sytuacyi, jeden położył się na wązkim pasie lodu i próbował przyciągnąć mię za rękaw salopy, lecz prędko się okazało, że ma za mało sił, we dwóch nie mogli pomieścić się na tym pasie lodu, gdyż nie wytrzymałby ich ciężaru, przeto jeden pozostał w blizkości mnie, a drugi pobiegł do wsi po sanie, powrozy i więcej ludzi. W tej samej chwili straciłam przytomność. Gdy odzyskałam zmysły, ujrzałam się otoczoną przez wiele osób, pomiędzy któremi był brat mój z żoną, doktór i ks. Bilukowicz z Kresławia.

Ciało Maryi Bogdanowicz znaleziono trzeciego dnia, a Jana po upływie dwóch tygodni. Nieszczęsna pozostała matka ich dostała obłąkania i wkrótce umarła.

Z opowiadania moich wybawców dowiedziałam się, że 5 godzin byłam w wodzie zanurzona po samą szyję, nad głębiną 17 łokci.

Doznawszy wiele łask innych od Najświętszej Panny, pragnę ku czci i chwale Jej ogłosić światu to cudowne moje ocalenie. Obecnie jestem już mężatką i wraz z mężem codziennie odmawiamy litanię do Najświętszej Maryi Panny.“

Z Wieniawy, dyecezyi Sandomierskiej. Szanowny księże Redaktorze! Jako przenumerator „Dzwonka Częstochowskiego“ znam treść i chwalebną tendencyę Waszego pisma. Ma ono na celu dźwiganie społeczeństwa katolickiego w kierunku duchownym przez podawanie temuż zdrowej karmy, zbieranej przeważnie na ojczystej i kościelnej niwie.

Korzystając z tego, postanowiłem, za pośrednictwem „Dzwonka Częstochowskiego“ upomnieć się niejako o cześć należną Najświętszej Maryi Pannie Piekoszowskiej i chociaż pokrótce, opierając się na przechowanych dokumentach, podać historyę cudownego obrazu w Piekoszowie, a jak dawniej pisano i mówiono: Piękoszowie.

W dyecezyi Sandomierskiej, na pograniczu z Kielecką, a skutkiem ostatnich podziałów w gubernii Kieleckiej, znajduje się wieś Piekoszów, odległa od Kielc o dwie mile. Niegdyś Piekoszów należał do archidyecezyi Gnieźnieńskiej, a był dziedziczną siedzibą zamożnej, znanej rodziny Tarłów. W malowniczej okolicy, na wzgórzu okolonem przez dwa ogrody: dworski i plebański, blizko siebie położone, w pośrodku wznosi się wspaniały kościół Piekoszowski, a w nim cudowny obraz Matki Boskiej. Obraz ten podarował świętobliwy ojciec Tobiasz z Jasnej-Góry w Częstochowie imci panu Franciszkowi Szczepańskiemu, trzymającemu w owe czasy plebanię w Piekoszowie, a późniejszemu kanonikowi Łowickiemu. Prześliczny ten obraz, niewiadomego pędzla, przedstawia Najświętszą Maryę Pannę z Dzieciątkiem Jezus, piastowanem na prawej ręce. W roku 1705, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, w tym obrazie Najświętsza Panna płakała krwawemi łzami. To cudowne objawienie poświadczyli zacni i wiarogodni, a między innymi, Józef na Czekanowicach Tarło, kapitan goszczyński, który tak mówi: „nietylko ja byłem widzem tego wielkiego zjawienia, kiedy ten obraz Najświętszej Maryi Panny krwawemi płakał łzami, ale i innych kapłańskiego, szlacheckiego i prostego stanu było na ten czas ludzi wiele. Widziałem wyraźnie, kiedy wynikały łzy krwawe, tak rok w dzień Bożego Wstąpienia; a ten obraz wisiał wysoko nad oknem; widziałem i to, że te łzy spływały z oczu aż na to miejsce, gdzie stali różni ludzie — a kiedyśmy prowadzili ten obraz i serdecznie płakali, obecni w izbie, na ścieżkach, cmentarzu i przed samym kościołem padali krzyżem. To też zeznaję, żem tego obrazu u Jegomości Pana Szczepań-

skiego pożyczał na procesyę solenną Bożego Ciała, kiedym tu mieszkał w Rykosinie (wieś należąca do dziś dnia do parafii Piekoszów) i miałem go u siebie z tydzień na dworze Piękoszowskim, bo był wielce wdzięczny i śliczny — było to w roku 1704, jednak tych znaków nie widziałem.“

Stanisław z Bogusławic Sierakowski, administrator archidyecezyi Gnieźnieńskiej, w roku 1706 obraz ten, po zbadaniu zaprzysiężonych cudów, uznał jako cudowny i wszystkim wiernym jako cudowny czcić rozkazał. Od tego czasu tłumy kilkutysiączne pobożnych pielgrzymów nawiedzają corocznie Piekoszów i nie jeden z żywą wiarą a czystem sercem udający się pod opiekę Matki Boskiej Piekoszowskiej, odebrał za Jej przyczyną pożądane dla duszy i ciała wyjątkowe łaski. Podczas dwuletniego mojego pasterzowania w parafii Piekoszów, od roku 1901 do 1903, odebrałem dwa vota srebrne, złożone na podziękowanie Matce Boskiej Piekoszowskiej za odebrane łaski, a zarazem świadczące z innemi uprzednio składanemi o cudowności obrazu. Już w roku 1720 naliczono cudów 284. Na miejscu znajduje się książka streszczająca doznane cuda za przyczyną Najświętszej Maryi Panny Piekoszowskiej, ale bez początku i końca. Na pierwszej stronicy jest napis czyli tytuł książki skopiowany z oryginału przez proboszcza piekoszowskiego ś. p. ks. Jana Grzybowskiego. Tenor tytułu następujący: Skarb nieprzebrany — kleynot nieoszacowany Bogarodzica Marya Panna, Matka miłosierdzia we wsi Piękoszowie, w dobrach J. W. Ichmościów p.p. Tarłów, w rezydencyi pasterskiej, przed samem wtarginęciem Szweda, krwawemi łzami płacząca, wielkimi cudami wsławiona. A na większą u całego świata pociechę przez niegodnego kapłana tamtego miejsca na onczas pasterza ks. Mikołaja Złotnickiego, archidyakona i officyała sandomierskiego, a w przeszłym roku z woli Boskiej, a z osobliwej J. O. książęcia Imci Konstantego Felicyana na Szaniawach Szaniawskiego, krakowskiego kanonika łaski, powinną w druku ogłoszona publiką.“ W drukarni Jasno-Górskiej w Częstochowie roku pańskiego 1722.

Oto opis paru cudów, doznanych w Piekoszowie, a z książeczki czyli diaryusza wyżej wspomnianego poczerpnięty:

Rok Pański 1705. Uzdrowienie na nogę. Pan Jan Jarmundowicz, lekarz ze Szczekocin, będąc wezwany wraz z innymi, jako rzeczoznawca, do stwierdzenia prawdziwości łez cudownego obrazu, nie mógł się na dzień oznaczony stawić, a to dlatego, że na prawą nogę ciężko chorujący, wstać, a tem więcej postąpić nie mógł. Lecz jak sam wyznaje, skoro tylko przeczytał list od Jegomości księdza Gębicza, wikarego piekoszowskiego, aby zjechał na dzień dzisiejszy, westchnąwszy do Najświętszej Panny Maryi Piekoszowskiej, zaraz uzdrowiony został.

Lekarz od Maryi zdrowie otrzymuje,
Gdy się jej opiece szczerze ofiaruje.

Uzdrowienie w ciężkiej chorobie. Sprzysiężone niejako na ludzkie zdrowie choroby, ale ich koniuracyą łatwo rozrywa Matka Najświętsza, której Theodorus Lascharis, cesarz, mówi: Maria est redintegratio aegrotantium ad salutem, wydała się Jej skuteczna łaska, naprzód na Jadwidze, córce Zofii Kaczmarzykowej, gospodyni dworskiej ze wsi Samostrzał, potem na Maryannie Stachowiczowej, ze wsi Słupi, z pod Szczekocin, także na Jakubie Oszczerku z Kuźnice Adamowej, którzy wszyscy ze śmiertelnych chorób za ofiarowaniem się do Piekoszowa powstali, stawiwszy się na tem cudownem miejscu po Komunii Ś-tej, zeznali w miesiącu tym, dnia 18.

Dobrze się Komunią tą świętą stwierdzają
Chorzy, co przez Maryę z choroby powstają.
Boć chleba Anielskiego godne pożywanie,
Nad tysiączne przysięgi prawdziwsze wyznanie.

Rok Pański 1722. Dziecię utopione ożyło. Roku 1722, dnia 22 kwietnia, z Piekoszowa Jana Kowalskiego dziecię wpadło w studnię, które ludzie idąc z dworskiej usługi obaczywszy, jeden tedy z nich parobek, dostawszy go ręką ze studni, nieżywe położył na ziemi, i tak przez pół kwandransa nieżywe leżało. Rodzice, gdy go ofiarowali Najświętszej Maryi Pannie, na tem miejscu cudami słynącej, zapłakawszy, dziecię żywe i zdrowe wstało, z podziwieniem wielu ludzi, których było ze trzydzieści, przy tym był spektatorem imć X. Antoni Janczarski, kommendarz na ten czas piekoszowski.

Uzdrowienie w ciężkiej chorobie. Z Chęcin Imć Andrzej Andrzelewski, proboszcz chęciński, w ciężkiej chorobie będąc, już prawie in extremis zostawał, gdy się ofiarował na to miejsce, jako wiadomy wielu łask i cudów obraz tutejszy piekoszowski nawiedzić (bo tu już był kommendarzem przedtem), do pierwszego zdrowia przyszedł, i to bona fide zeznał.

Rok Pański 1723. Obrona od ognia. Z Brussa Imć pani Wolska Zofia, będąc w wielkiem niebezpieczeństwie ognia, omal dwa razy nie zgorzała, kiedy ogień już dach wielki okolicznie srodze ogarnął, że go ludzka pomoc obronić już nie mogła, ale za wezwaniem protekcyi Najświętszej Maryi Panny w Piekoszowie cudami słynącej, ogień ustał. Co sama, nawiedzając ten obraz, zeznała.

Uzdrowienie nogi. Z Krakowa sławetna pani Jadwiga Wróblewiczowa, ciężką chorobą złożona będąc, przez długi czas ból ponosząc w nodze, która jak się ofiarowała Najświętszej Maryi Pannie w obrazie Piekoszowskim, słynącym cudami, zaraz prędko do zdrowia przyszła i to miejsce nawiedziła, votum dawszy srebrne do kościoła na pamiątkę, i to po Komunii świętej zeznała.

Uzdrowienie w chorobie. Z Chmielnika Augustyn Golibroda przez niedziel ośmnaście z łóżka nie wstając w chorobie ciężkiej, gdy się tu ofiarował nawiedzić obraz Najświętszej Maryi Panny, ozdrowiał wprędce·

Pisząc o cudownym obrazie w Piekoszowie, sądzą, że słuszna wspomnieć i o przybytku, w którym się mieścił i przechowuje ten obraz, czyli o kościele piekoszowskim. Według starych dokumentów, w części ocalonych i przechowanych na gruncie, w roku 1365 wybudował w Piekoszowie kościół murowany Piotr Odrowąż. Na owe czasy, w stosunku do ludności i liczby parafian, kościół ten, co do rozmiarów, był wystarczającym i przetrwał do końca zeszłego stulecia, obecnie rozebrany. Kiedy zaś Piekoszów, z chwilą objawienia się Najświętszej Maryi Panny, zasłynął cudami i stał się miejscem pobożnych pielgrzymek, wierni a wdzięczni czciciele Najświętszej Maryi Panny, miejscowi i okoliczni, postanowili wznieść nowy kościół, odpowiedni rozmiarami do bieżących warunków, a godny na pomieszczenie tak drogiego skarbu, jaki z łaski i woli Bożej dostał się wszystkim wiernym wyznawcom Chrystusa Pana i Jego Matki Najświętszej, a w szczególności Piekoszowianom. Lecz jak zwykle przy wszelkich a zwłaszcza poważniejszych budowach, na które niema stałego funduszu, pobożne chęci nie prędko zostały w czyn wprowadzone. Dopiero na początku zeszłego stulecia, za czasów i staraniem ks. Bernarda Bzinkowskiego, proboszcza piekoszowskiego, kanonika i regensa seminaryum kieleckiego, w r. 1807 rozpoczęto budowę nowego kościoła, do której wiele się przyczyniła pani Zofia Dębowska, kasztelanowa, składając na cel powyższy dobrowolną ofiarę w sumie złotych polskich 30000. W ciągu lat następnych, to jest do roku 1810 zdołano wyprowadzić mury kościoła około dziesięciu łokci — dalszych jednak robót, skutkiem wynikłych zaburzeń w kraju, a w części i dla braku funauszu, zaniechano zupełnie. Dopiero w roku 1870, za czasów proboszcza piekoszowskiego ks. Jana Grzybowskiego poprowadzono dalej budowę kościoła, którą ostatecznie o tyle dokończył następny proboszcz imć ks. Bartłomiej Czajkowski, że w r. 1884, w dzień Zielonych Świątek, odbyła się konsekracya kościoła, dopełniona przez biskupa sandomierskiego, ks. Antoniego Sotkiewicza. Kościół wzniesiony pod tytułem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.



Obraz, słynący cudami Matki Najświętszej w kościołku w Materich, w Egipcie.

Naturalnie wiele jeszcze brakuje do kompletnego wewnętrznego urządzenia w świątyni i jeszcze kilkanaście lat upłynie, zanim wszystko do należytego porządku przyprowadzonem zostanie. Kościół zbudowany w stylu odrodzenia, o trzech nawach, z bogatemi wieżami na frontonie, w których mieszczą się dzwony. Przez czas bezrobocia około budowy kościoła, na murach kościelnych wyrosła dosyć znacznej wysokości sosna, którą przy rozpoczęciu dalszych robót, przesadzono na cmentarz kościelny, gdzie dotąd jako świadek ubiegłej przeszłości wzrasta.

Tak więc z łaski Bożej i ludzi dobrej woli, Piekoszów posiada piękny kościół, z którego tryskają strumienie ożywczych łask i darów Bożych. Mamy wszyscy trony miłosierdzia, z których przez ręce Niepokalanej Matki Zbawiciela naszego, spływały i zawsze gotowe spływać najcenniejsze dary dla biednej, a godnej ludzkości; umiejmy tylko zasłużyć sobie na opiekę i serce macierzyńskie Najświętszej Maryi Panny, a znajdziemy Jej wielowładną pomoc w życiu, obronę w walce z namiętnościami, światem zwodniczym i szatanem, pociechę w niedoli, uświęcenie w czynach.

O, Maryo! bądź nam grzesznym miłościwą i błogosławioną po wszystkie wieki.

Ks. K. S.
były proboszcz piekoszowski.

Z Huty—Targówek, gminy Brudno, pod Warszawą. Po solennej wotywie w starym pragskim kościele, w dniu 25 października, w osadzie naszej odbyło się uroczyste poświęcenie krzyża wzniesionego ze składek pracowników huty. Krzyż ustawiono przy drodze, prowadzącej do osady wiaduktu drogi obwodowej. Artystycznej ślusarskiej roboty krzyż żelazny, wysoki na 6 łokci, ze złoconą figurą Zbawiciela i ozdobami, spoczywa na również wysokiem z ozdobnych cegieł podmurowaniu, w którem, od strony frontowej, umieszczono obraz Najświętszej Maryi Panny Nieustającej Pomocy na blasze miedzianej, grubo pozłoconej. Krzyż obwiedziony jest kratą żelazną na podmurowaniu, również artystycznej ręcznej roboty. Całość przedstawia się wspaniale, dlatego też na poświęceniu zebrały się kilkutysięczne tłumy pobożnych, co daje nadzieję, że i inne podmiejskie okolice wstąpią w ślady hutników z Targówka.

St. Kozik.

Z Opoczna, gub. radomskiej. Niedawno ks. prałat Maryan Ryx, regens seminaryum sandomierskiego, dziś nowomianowany biskup płocki, bawiąc w parafii swej Wierzbicy, odnalazł wspaniały ołtarz obozowy. Jestto zabytek nader cennej wartości, na który dotychczas mało kto

zwrócił należytą uwagę. Światły ten kapłan w tym wypadku daje nam niejako przestrogę i wzór do naśladowania. Szanujmy pamiątki przeszłości, zwracajmy więcej uwagi na drobne nieraz i na pozór bez wartości przedmioty stare, pokryte warstwą kurzu, bo w wielu razach się zdarza, że są one cenne, a przytem choć nieme, jednak przemawiają do nas ustami wieków.

Ks. Józef Trybulski.

Z Gorzd, dyecezyi żmudzkiej. Gorzdy, jako miasteczko położone w pięknej miejscowości, z jednej strony graniczą z Prusami, z drugiej z rzeką Miniją, która przecinając całą parafię gorzdowską, płynie mimo samych Gorzd. Na podniosłym brzegu Minii, niedaleko od mostu, stoi kościół drewniany krzyżowy, dosyć okazały z piękną wieżyczką i ogrodzony murem kamiennym, zbudowany w stylu miejscowym 1791 roku, staraniem ks. Korzeniewskiego, podówczas byłego plebana i kosztem gorzdowskich parafian.

Na cmentarzu stoi kaplica, zbudowana 1840 r. przez dziedzica miasta Gorzd barona Rene, gdzie odprawia się żałobne nabożeństwo za rodzinę baronów Rene i hrabiów Mielżyńskich. W tej samej gorzdowskiej parafii jest drugi kościół filialny, w majątku hrabiny Maryi Wolmerowej de Polenta, zbudowany kosztem tychże hrabiów 1784 r.

Gorzdowska parafia na ogół ma obojga płci dusz do 6 tysięcy.

Co do pobożności tej porafii, to można powiedzieć bez przesady, że arystokracya gorzdowska odznacza się prawdziwą pobożnością, również i lud wiejski; pięknie modlą się w kościele i do spowiedzi dosyć często chodzą (niedarmo Żmudź świętą nazywają).

Jedna wada tego ludu, która prawie może go zgubić materyalnie i moralnie, zbyteczne używanie spirytusu przemycanego pruskiego; nietylko gorzdowska parafia podlega tej zgubie, lecz cała pograniczna okolica i innych parafij; z boleścią serca daje się patrzeć, jak z targów wracają pijani: jedni walą się po rowach z bryki, drudzy kąpią się w błocie po ulicach, na to niema ratuku... ni spowiedź, ni kazanie, ni łzy żony nie mają wpływu na nałogowych pijaków.

Zatem w obecnej chwili postanowiłem zwracać uwagę na młode pokolenie, przyjmując do pierwszej Komunii grupami i zobowiązując ściśle do trzeźwości. Grupa pomieszczona na rycinie ma być przykładem dla innych. Mam nadzieję, że to będzie pożyteczne i wyda plony pożądane.

Ks. Józef Musilionis.

Cudowne źródło. W ogrodzie pod Kairem, gdzie ongi za przyczyną Matki Bożej, wracającej z Egiptu z Boskim Swym Synem i Swym Oblu-

bieńcem, wytrysło w cudowny sposób źródło słodkiej wody, w pierwszych wiekach wystawiono kościół, do którego tysiące wiernych podążało z całego Egiptu. Gdy mahometanie stali się panami Egiptu, zburzyli ten przybytek czci Matki Bożej, ale już w XIII wieku odbudowa-



Kościołek Najświętszej Maryi Panny w Materich, wystawiony na miejscu, gdzie mieszkała Rodzina Święta i gdzie za wstawiennictwem Matki Boskiej cudownie wytrysło źródło.

no kościołek, jak świadczy w opisie Ziemi Świętej uczony podróżnik ówczesny, Brokard. „Widziałem — pisze on — w ogrodzie palmowym źródło, gdzie Matka Najświętsza kąpała Boskiego Zbawcę, i skałę, z której wytrysło.

Źródło i skała w największej są czci u chrześcijan. Kościołek stoi na miejscu, gdzie zatrzymała się dla odpoczynku Święta Rodzina. Sami nawet poganie czczą to święte miejsce, utrzymując własnym kosztem przed obrazem palącą się lampę.“

Z biegiem czasu kościołek przechodził różne koleje, aż w roku 1883 Ojcowie Jezuici odrestaurowali go i przyozdobili. Miejsce, po którem przed wieki stąpała Najświętsza Rodzina, jakoteż cudowne źródło ogrodzono murem. Z jakąż rozkoszą całuje pielgrzym tę ziemię, po której Najświętsze chodziły osoby... Jak miło się modlić, gdzie modliła się Matka Boża, chroniąc się przed strasznem prześladowaniem... Droga to pamiątka dla serca wiernych.

Z Łaska, gub. kaliskiej. W dzień Ś-go Michała, w którym to dniu przypada odpust w naszej parafii, kapłani zebrani na tę uroczystość z całego prawie dekanatu, uczcili serdeczną owacyą swego dziekana, a naszego kochanego proboszcza, ks. Ignacego Płoszaja, prałata kolegiaty kaliskiej, składając mu tym sposobem podziękę za szesnastoletnie kierownictwo sprawami dekanatu z pożytkiem dla Kościoła naszego świętego.

Przytem ks. prałat Szulc, proboszcz z Pabianic, w imieniu duchowieństwa dekanatu ofiarował Solenizantowi piękny pierścień kanonicki, a ks. Kempf, proboszcz z Rastarzewa przemówił serdecznie, oddając cześć i uznanie ks. Płoszajowi za jego takt i umiejętność w wypełnianiu trudnego obowiązku dziekana. Ks. prałat Płoszaj, jak powiedział mówca, potrafił spełnianiem trudnych i nieraz gorzkich obowiązków dziekana umiejętnie godzić miłość braterską z poczuciem sprawiedliwości. Zakończył przemówienie życzeniem:

Niech Cię, Czcigodny prałacie, Pan Bóg szczodrze obdarza łaską swoją, by za Twoim przewodem duchowieństwo dekanatu tego było prawdziwą ozdobą dyecezyi i pracowało na pożytek kraju i społeczeństwa i na tryumf Ś-go Kościoła.

Ks. prałat Płoszaj rzewnie i serdecznie dziękował konfratrom za uczucia życzliwości i uznania, mówiąc że one mu będą pobudką do gorliwej pracy dla dobra Kościoła w miłości bratniej.

X. X.

Konkurs literacki. „Przegląd powszechny“ ogłasza konkurs literacki z powodu 50-letniego jubileuszu ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Chcielibyśmy — brzmi odezwa — spowodować ogłoszeniem konkursu literackiego, ażeby nowa a trwała pamiątka czci Matki Bożej w naszym kraju, czci w narodzie tak powszechnej i z tyloma faktami dziejowemi związanej, pozostała z okazyi

tej uroczystości w skarbcu naszej literatury. Konkurs nie ogranicza rodzaju ani formy utworu. Może być powieściowy, poetyczny lub dramatyczny. Treścią, a przynajmniej głównym motywem ma być temat związany z postacią Najświętszej Panny, czy z Jej życiem, czy działalnością, znaczeniem, czy z Jej wpływem na losy Kościoła, narodów, jednostek, czy z objawami Jej kultu i t. d. Utwór nie powinien przekraczać 288 wierszy druku. Nagrody są dwie: najlepszy utwór otrzyma w nagrodę 1000 koron, następny 500 koron. Pozostałe wybitne utwory zostaną odznaczone chlubną wzmianką. Sąd konkursowy składają pp.: Julian Klaczko, Kazimierz Morawski, Józef Kalenbach, Antoni Mazanowski i ks. Jan Palewski T. J. Termin składania prac oznaczono do d. 15 września 1904 r. Rękopisy zaopatrzone godłem, wraz z kopertą zamkniętą z temże samem godłem, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i adresem autora należy nadsyłać pod adresem: Redakcya „Przeglądu Powszechnego“ Kraków, Grodzka 43.

Godne naśladowania. W odpowiedzi na odezwę naszą do ludzi dobrej woli z prośbą o bezpłatne nadsyłanie książek treści religijnej i światowej dla biednej braci naszej, zamieszkałej w Ameryce, otrzymaliśmy w tych dniach książkę pod tytułem: „Obrazki świąteczne Kościoła Rzymsko-katolickiego“ z następującym listem do rodaków naszych w Ameryce.

„Szanowni Bracia, będący w Ameryce, bądźcie łaskawi przyjąć te Boże słowa, wypowiedziane przez naszych przodków, bo oni byli wielce gorliwi o pismo Boże. My, potomkowie ich, więcej jesteśmy przykuci do świata doczesnego, ale, daj Boże, kto będzie czytał tę książkę, żeby się zastosował do tych obrazków Rzymsko-katolickiego Kościoła.“

Artykuł nadesłany. Szanowny Ks. Redaktorze! Uprzejmie proszę o umieszczenie w Waszem poczytnem piśmie co następuje:

W 1902 roku, d. 23 sierpnia, zamówiłem u pana Władysława Kleniewskiego, rzeźbiarza w Wilnie trzy ołtarze do kościoła parafialnego Rzymsko-katolickiego w Kukuciszkach — za rb. 2000.

Ponieważ pan W. Kleniewski robotę zamówioną w terminie oznaczonym wykończył, postawiwszy trzy prześliczne nowe ołtarze, przeto niniejszem wyrażam serdeczną wdzięczność panu W. Kleniewskiemu i śmiało go polecam interesowanym konfratrom,

Proboszcz Kukuciszkiego kościoła
Ks. J. Ukryn.

Kukuciszki — gub. Wileńska
powiat Święciański.

„Nie zabijaj!“

Zdrowie jest wielkim skarbem, choroba wielkim wrogiem ludzkości. Stare to jak świat przekonanie. Odkąd bowiem rodzaj ludzki istnieje, odtąd datuje się walka z chorobą i śmiało rzec można, że dopóki ludzie żyć będą, dopóty i walka ta trwać będzie.

Z postępem czasu sposób walki się zmienia. Umysł ludzki ciągle pracuje nad tem, aby należycie zbadać i wskazać warunki, w jakich organizm ludzki najlepiej rozwijać się i najdłużej żyć może. Praca ta przypadła w udziale lekarzom, a sama nauka, traktująca o chorobach, zwie się medycyną.

By rozumnie walczyć, należy mieć oręż w ręku i umieć orężem tym władać; w przeciwnym razie walka staje się próżną, bezowocną. Orężem w walce przeciw chorobie jest wiedza lekarska, wzbogacona pomnikowemi pracami ludzi, którzy specyalnie studyom medycznym życie swe poświęcili. Aby umiejętnie orężem tym władać, należy przedewszystkiem wiedzę tę zbadać, poznać drobiazgowo ustrój człowieka w stanie zdrowia i choroby, zapoznać się gruntownie z przyczynami powstawania najrozmaitszych chorób, nauczyć się rozpoznawać i leczyć je. Lecz, aby choć w części podołać temu zadaniu, potrzeba na to dużo lat mozolnej i sumiennej pracy; wiele poświęcenia i silnej woli. Pracy tej poświęcają się lekarze, do nich więc w chorobach uciekać się należy. Kto tego nie czyni, ten ciężko grzeszy, bo lekceważy zdrowie własne i cudze.

Niestety, jakżeż jeszcze często słyszeć lub czytać się daje, że do leczenia chorób roszczą sobie pretensye ludzie, którzy nie mają nic

wspólnego z wiedzą lekarską. Ludzie ci, pospolicie znachorami zwani, obałamucają ludność łatwowierną, wyłudzają od niej ciężko zapracowany pieniądz, nie licząc się bynajmniej z tem, jaką jej krzywdę wyrządzają. Wiadomo, że wiele cierpień bez żadnego leczenia szczęśliwie przemija. Wiedzą o tem lekarze i dlatego nie zawsze przypisują sobie zasługę pomyślnego ustąpienia choroby. Inaczej rzecz się ma ze znachorem. Ten, chociaż postępuje z chorym zawsze na chybił-trafił, każdy jednak dobry rezultat ustąpienia choroby uważa za swą zasługę, z nieszczęśliwie zaś zakończonymi przypadkami nie ma zwyczaju się liczyć. To też niejedne rodziny ciężko opłakują poniewczasie nierozsądną wiarę w znachorów: nieraz tracą głowę domu — ojca, tracą matkę, tracą jedyne dziecko, powierzając zdrowie ich tylko przez nieświadomość pieczy bezczelnego szarlatana.

Dowiedzioną jest rzeczą, że przekonanie wiejskiego ludu o konieczności udawania się w chorobach do lekarzy, a nie do znachorów, jest rzeczą bardzo trudną. Jednakże trzeba tylko serdecznie zbliżyć się do prostego ludu, bez uprzedzeń wszelkich, w przystępnej formie prowadzić z nim rozmowę, ująć go sobie obejściem łagodnem, dać mu poznać, że wszystko, co się doń mówi, płynie z serca i rozumu, a z pewnością usiłowania nasze niejednokrotnie dobrym skutkiem uwieńczone zostaną. Jako przykład, wskażę na pewną matkę licznej ubogiej rodziny. Biedaczka, długi czas ulegała błędowi wzywania do swych chorych dziatek najrozmaitszych babek-znachorek. Zdarzyło się, że dom jej nawiedził ksiądz proboszcz, dowiedziawszy się o ciężko chorem jej dziecku, które blizko od roku pozostawione było na opiece starej, niesumiennej kumoszki-znachorki.

W rozmowie o tem i o owem zwrócił się ksiądz proboszcz do strapionej matki chorego dziecięcia z następującemi słowy:

— Odpowiedzcie mi tylko na trzy pytania, a ręczę, że i na czwarte, najważniejsze, dacie mi rozumną odpowiedź.

Nieszczęśliwa kobieta, utkwiwszy załzawione oczy w obliczu szczerze współczującego jej niedoli kapłana, odrzekła pośpiesznie:

— Słucham księdza proboszcza!

— Odpowiedzcie mi zatem. Jeżeli koniowi popsuje się podkowa, to do kogo o poradę się udacie?

— Do kowala!—odparła z półuśmiechem kobieta.

— Bardzo dobrze. A jeśli wam się trzewiki podrą?

— A do szewca.

— Wybornie. A jeśli wam się szafa lub stół popsuje?

— A to udam się do stolarza lub stelmacha.

— Z tego, co powiedzieliście dotąd, widać, że w drobnych sprawach życiowych doskonale umiecie sobie radzić. Odpowiedzcież mi teraz na czwarte pytanie. Jeżeli dziecko lub mąż wam zachoruje, to do kogo w takim razie o poradę udać się powinniście?

— Ano juścić, że do doktora.

— Zapewne, boć skoro z zepsutą podkową nie pójdziecie do stolarza, a z zepsutym butem do piekarza, to i z chorem dzieckiem nie powinniście udawać się do nikogo innego, jak tylko do lekarza; leczenie bowiem — to jego fach, jego rzemiosło, w którem on się przez długie lata w szkołach ćwiczył i któremu zdrowie i siły swe poświęca.

Przekonywająca ta rozmowa tak podziałała silnie na ową kobietę, że nietylko sama już nigdy potem nie uciekała się o poradę do żadnych babek-znachorek, zażegnywaczek, odczyniaczek uroków i t. p., ale potrafiła nawet niejedną sąsiadkę z pod obrzydłej opieki oszukańczych znachorów i znachorek uwolnić.

Wzorując się na powyższym przykładzie, za punkt honoru i za obowiązek święty poczytywać sobie winniśmy ratowanie wszelkiemi siłami nieuświadomioną jeszcze i nieoświeconą brać naszą ze szponów bezwstydnych znachorów, wyłgiwaczy krwawo zapracowanego grosza, a co gorsza — sprawców tysiąca nieszczęść, jakie spadają na rodziny, styczność z nimi mające. Częstokroć słyszeć się daje, jak matka-prostaczka, bolejąc nad utratą jedynego dziecka, które pozbawione wszelkiego rozumnego ratunku, przedwcześnie życie skończyło, szuka jak gdyby ukojenia w słowach: „Bóg dał, Bóg wziął“; sądzi, że porachunek względem Boga i ludzi już należycie okrzykiem tym spłaca i od wszelkiej odpowiedzialności za życie przedwcześnie zgasłego dziecięcia się uwalnia.

Matki podobne winny wiedzieć, że są w wielkim błędzie. Wszak nauka religii głosi, że na to człowiekowi rozum dan, aby z niego korzystał, a ten rozum właśnie nakazuje, aby w chorobie szukać porady u lekarza, a nie u szarlatana i znachora. Na to Pan Bóg rozdzielił pomiędzy ludzi rozmaite umiejętności, aby wzajemnie jedni drugim rozumne wyświadczali usługi. Obowiązkiem więc nauczyciela jest uczyć dziatwę, obowiązkiem adwokata — bronić niewinnie oskarżonych, obowiązkiem sędziego — sprawiedliwie sądzić, obowiązkiem siostry miłosierdzia — chorych pielęgnować, obowiązkiem lekarza — chorych leczyć i t d. Z pod tego ogólnego prawa wyłamują się jednostki i z nich to tworzy się zastęp próżniaków, oszustów, wyłżygroszy, na których czele figurują wszelkiego rodzaju znachory i znachorki, szachrujący nietylko mieniem bliźniego, lecz i jego życiem. Kto więc w chorobie swej lub bliźniego do nich się ucieka, ten lekceważy swe i cudze życie, a tem samem obraża Boga, grzesząc przeciwko piątemu przykazaniu Boskiemu: nie zabijaj!

Potępiając skłonność nieoświeconych jednostek — uciekania się o pomoc lekarską do znachorów i znachorek, nie mamy bynajmniej na celu pisania ody pochwalnej dla zawodu lekarskiego; zawód bowiem lekarski zarówno, jak i każda inna gałąź wiedzy, nieomylnym w wyrokowaniu nie jest. Lekarz, stosownie do swego uzdolnienia i zasobu wiedzy, niejednokrotnie może mniejszy lub większy błąd popełnić, lecz któż z nas wolnym jest od błędu? Jednakże pomyślmy tylko: jeśli lekarz, biegły w zawodzie swym, mylić się może, czy to w rozpoznaniu choroby, czy też w sposobie leczenia jej, to cóż dopiero dzieje się w praktyce ciemnego znachora! Ten grzeszy potrójnie: po pierwsze, że bierze się do rzeczy, o której nie ma najmniejszego pojęcia, po drugie — okrada, poprostu powiedziawszy, biednych ludzi, po trzecie i co najważniejsze, łudząc chorego zapewnieniami swemi, pozbawia go racyonalnej, lekarskiej pomocy.

Dr. St. G.



Od Redakcyi.

Szanownym księżom. F. Dwor., W. Krz., A. Majew., S. Chmiel., J. Wol. K. Jun., A. Bad., J. Bran. i wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom „Dzwonka Częstochowskiego“, którzy raczyli nam przesłać opłatek wigilijny i słowa życzliwe z rozpoczynającym się rokiem, przesyłamy najserdeczniejsze podziękowanie i nawzajem życzymy błogosławieństwa Bożego i Opieki Matki Boskiej Częstochowskiej.

W-nemu P. F. Szp. w Koz. Głęboko wzruszeni uznaniem dla naszej pracy i wdzięczni za słowa zachęty przesyłamy serdeczne: „Bóg zapłać!“

Szanownemu ks. J. Pietr. w Diat. Z całego serca dziękujemy za życzenia i za słowa błogosławieństwa dla naszej pracy.

W-nemu P. A. Maj. w Now. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1904 r. Za życzenia dziękujemy.

Szanownemu ks. St. Kań. w Olk. Przesłane nam gorące słowa uznania, życzliwości i zachęty do głębi nas wzruszyły i ślemy za nie serdeczne dzięki.

W-nemu P. K. Wisz. w Lub. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1904 r.

Szanownemu ks. J. Kucz. w Wil. Pieniądze otrzymaliśmy. Za otrzymane życzenia serdecznie dziękujemy.

Prenumeratorce Helenie X. Za rękopis dziękujemy i prosimy o podobne wiadomości nadal. W krótkim czasie wydrukujemy. Przesyłamy serdeczna życzenia na Nowy 1904 rok.

W-nemu P M. Rut. w Sil. Należy nam się do 1 stycznia 1904 r. rb. 1.

Szanownemu ks. L. Łąc. w Mysz. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1904 r.

Szanownemu ks. St. Wiś. w Opat. Prenumerata opłacona już za 1904 r.

Czcigodnym księżom kanonikom: A. Bur., W. Grab., A. Błoń. Z całego serca dziękujemy za życzenia i za słowa błogosławieństwa dla naszej pracy.

W-nej Pani M. Hryn. w Rowień. Przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“ za rozpowszechnianie naszego pisma.

W-nej Pani A. Poż. w Radz. Przekaz otrzymaliśmy. Rachunek uregulowany. Na rok 1905 ma Sz. Pani u nas rb. 4 kop. 10.

Szanownym księżom: St. Or., J. Zal., A. Lis., C. Tr., J. Ros., J. Kat., J. Kem., F. Czar., Dąb., F. Wik., W. Czar. Zar. Za przysłane nam życzenia i życzliwość dla naszej pracy wyrażamy serdeczne podziękowanie.

W-nej Pani Ad. Did. w Wil. Za życzenia bardzo dziękujemy.

Szanownemu ks. A. Arcisz. w Sosn. Prenumerata opłacona za pierwsze dwa kwartały 1903 r. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

W-nemu P. F. Maz. w Zgoł. Powieść „W szwedzkich szponach“ wychodzić dalej będzie w „Dzwonku Częstochowskim“.

W-nej Pani Ejs. w Grod. Za otrzymnne życzenia serdecznie dziękujemy.

Szanownemu ks. Grusz. w Felsz. Nie otrzymaliśmy pieniędzy na premium za rok 1903. Za życzenia „Bóg zapłać!“

Szanownemu ks. Hoł. w Tul. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1904 r. Za opłatek i życzenia dziękujemy serdecznie.

W-nemu P. T. Osiń. w Sitk. Prenumerata uregulowana do 1 stycznia 1904 r.

Szanownemu ks. W. Szym. w Kraś. Dziękujemy. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1905 r.

Szanownemu ks. J. Matul. w Ożar. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1905 r. Za życzenia dziękujemy serdecznie.

Szanownemu ks. J. Jod. w Kole. Przekaz otrzymaliśmy. Za życzliwość dla naszego pisma serdeczne „Bóg zapłać!“

W-nemu P. W. Ney. w Wil. Przekaz otrzymaliśmy. Dziękujemy najserdeczniej.

Szanownemu ks. S. Łoz. w Amer. Życzenie spełniliśmy. Za przesłane nam słowa życzliwości serdecznie dziękujemy.

W-nemu P. T. Podob. w Koż. Za poczciwe słowo i życzenia dziękujemy z całego serca.

W-nemu P. W Wdzięk. w Tł. „Bóg zapłać“ za życzliwość dla naszej pracy.

Szanownemu ks. W. Gum. w Rud. Braterskie uściśnienie przyjmijcie za wyrażone nam słowa uznania.

Szanownym księżom: H. Marcz. i W. Boj. Z całego serca ślemy podziękowanie za życzliwość dla naszego pisma.

W-nej Pani M. Ziel w Krośniew. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1903 r.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1904, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w tym roku, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną-Górą.



5 tomów „Historyi Literatury Polskiej“ STANISŁAWA TARNOWSKIEGO bezpłatnie!

SŁOWO

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI I EKONOMICZNY

wychodzi codziennie, prócz świąt, w Warszawie (Warecka 15).

REDAKTOR **Antoni Donimirski.** — WYDAWCA **Paweł Górski.**

Do składu Redakcyi należą: dr. **Witold Lewicki. Kazimierz Puffke, Ignacy Baliński, Henryk Opieński, Henryk Piątkowski, dr. J. Bandrowski, Józef Zarembski, Stanisław Bosakowski, Bruno Wincenty Korotyński i Eugenia Żmijewska,** jako stali członkowie Redakcyi, oraz p.p. **St. Koźmian** (Wiedeń), **K. Waliszewski** (Paryż), dr. **Ritner** (Wiedeń), **Mścisław Edgar Trepka** (Londyn), **Adam Darowski** (Rzym), dr. **Jan Karkowski** (Berlin), jako stali korespondenci z głównych stolic zagranicznych.

Prócz tego **„Słowo“** zalicza szereg **najwybitniejszych pisarzy polskich** do spółpracowników swoich stałych i przygodnie pismo zasilających.

„Słowo“ pomieszcza w każdym numerze **artykuły wstępne,** rozumowane, polityczne i społeczne, **korespondencye** ze wszystkich stolic zagr. obfitą kronikę prowincyonalną i krajową.

„Słowo“ zamieszcza codziennie **felieton,** a często **dwa felietony:** jeden z dziedziny nauki, literatury lub sztuki,—drugi powieściowy.

„Słowo“ wydaje dla swoich prenumeratorów

bezpłatnie

„Historyę Literatury Polskiej“

STANISŁAWA TARNOWSKIEGO

Profesora literatury polskiej na Wszechnicy Jagielońskiej

i rozsyła je prenumeratorom swoim w broszurowanych zeszytach tygodniowych **bez żadnej dopłaty do ceny prenumeracyjnej.**

Nowi prenumeratorowie roczni, półroczni i kwartalni otrzymają wydane już w 1903 r. **trzy tomy (51 zeszytów) tego znakomitego dzieła bezpłatnie** zaraz przy wnoszeniu prenumeraty. Za przesyłkę pobiera się 60 kop.

Nadto **„Słowo“** daje **Obszerny Dział Ekonomiczny,** odźwierciadlający dokładnie życie ekonomiczne całego kraju i zagranicy i zawierający obfity dział informacyj handlowych,—i

Dodatek powieściowy, zawierający tłumaczenia najcelniejszych utworów literatury zagranicznej.

W odcinku w 1904 r. **„Słowo“** drukować będzie:

W. Gąsiorowskiego powieść histor. z 1813 r. **„Wojna narodów,“**

W. Gomulickiego powieść psychologiczną p. t. **„Miłość.“**

Warunki prenumeraty wraz ze wszystkiemi dodatkami:

W WARSZAWIE:		NA PROWINCYI i w CESARSTWIE z przesyłką pocztową:		ZA GRANICĄ: z przesyłką pod opaską	
Rocznie	rb. 9 k. —	Rocznie	rb. 12 k. —	Rocznie	rb. 15 k. —
Kwartalnie	„ 2 „ 25	Kwartalnie	„ 3 „ —	Kwartalnie	„ 4 „ —
Miesięcznie	„ - „ 75			Miesięcznie	„ 1 „ 35
za odnosz. do domu 5 k. m.					

W Niemczech i w Austro - Węgrzech najlepiej i najtaniej wypada **prenumerować na poczcie.**

ADRES Redakcyi i Aministracyi „SŁOWA“: **Warecka, № 15 w Warszawie.**

UWAGA: Jako dziennik najwięcej ze wszystkich rozpowszechniony między obywatelstwem ziemskiem i wogóle bardzo czytany na prowincyi „SŁOWO“ nadaje się wybornie do pomieszczenia ogłoszeń wszelkich firm handlowych i przemysłowych, poszukujących klienteli.

Nowi prenumeratorowie otrzymają pierwsze trzy tomy „Historyi Literatury Polskiej“ zaraz przy opłacie prenumeraty, pozostałe zaś dwa w ciągu 1904 roku.

Nowi prenumeratorowie otrzymają pierwsze trzy tomy „Historyi Literatury Polskiej“ zaraz przy opłacie prenumeraty, pozostałe zaś dwa w ciągu 1904 roku.